

**ROCZNIK
STOWARZYSZENIA RODU
CHROMIŃSKICH**

Nr 11/2016



Stowarzyszenie Rodu Chromińskich
ul. Bernardyńska 21 m.62
02-904 Warszawa
www.chrominscy.pl



Drodzy Chromińscy, Szanowni Czytelnicy!

Oddaję w Wasze ręce kolejny, 11-sty już numer naszego Rocznika. Każdy kolejny numer cieszy mnie, cieszy zapewne także każdego z Was. I nie sposób nie przypomnieć, że w minionym roku ukazał się numer jubileuszowy, 10-ty! Jak ten czas leci! Tegoroczny, 11-sty numer otwiera nową dziesiątkę. Czy dane nam będzie cieszyć się z kolejnego jubileuszu, jubileuszu powstania Stowarzyszenia, jak też z jubileuszowego numeru Rocznika - za 10 lat? Bóg jeden wie, kto z nas dożyje. Daj Boże żeby wszyscy. Ale to nie w naszych rękach, nie wszystko od nas zależy. W naszych rękach jest natomiast Stowarzyszenie, jego przyszłość.

Ostatni, V Zjazd Stowarzyszenia w Mościbrodach był zjazdem udanym. Dobra atmosfera, dobre warunki zakwaterowania, dobre wyżywienie... Ale zabrakło mi pogłębionej dyskusji o Stowarzyszeniu, o jego „teraz” i o przyszłości. Zbrakło mi wspólnej oceny tego co za nami i tego co „przed”? Szerzej piszę o tym na dalszych stronach Rocznika. Zachęcam nie tylko do przeczytania ale też odniesienia się do poruszonych przeze mnie w tym tekście problemów. Ugruntowała się wśród nas taka nie najlepsza tradycja - braku odzewu na teksty publikowane w Roczniku. Tym razem proszę i oczekuję od Was, że zareagujecie na to co tam napisałem. Co napisali inni nasi członkowie? Chodzi przecież o

przyszłość naszego Stowarzyszenia. O to, czy będzie ono trwało, czy będzie cieszyło nie tylko nas, ale także kolejne pokolenia Chromińskich.

Cieszy mnie to, że w tym roku nie miałem problemów z tekstami do Rocznika. Duża część spośród nas nadesłała swoje artykuły, zdjęcia. Biorąc pod uwagę ograniczone objętościowo możliwości musiałem nawet niektóre teksty skracać, część ich przesuwając do następnych wydań. Może warto pomyśleć o zwiększeniu w przyszłości objętości naszych Roczników?

Trzeba się też zastanowić nad formą przyszłych zjazdów. I miejscem najbliższego. Czekam więc na Wasze opinie i propozycje w tej sprawie. Czekam też na inicjatywy, pomysły – co możemy w ciągu tych dwóch lat, jakie dzielą nas od kolejnego zjazdu, wspólnie zorganizować? Wspólnie przeżyć?

I jako niepoprawny, wieczny optymista mam nadzieję, że milczenie nie będzie jedyną reakcją na to co piszę, że zechcecie podzielić się ze mną swoimi refleksjami, przemyśleniami i propozycjami.

Z tą nadzieją serdecznie Was wszystkich pozdrawiam rodowym zawołaniem - Lubicz!

Sławek
Prezes Stowarzyszenia Rodu Chromińskich

Trochę refleksji po i przedzjazdowych

Święta, święta i po świętach! To popularne niegdyś porzekadło odnoszące się do szybkiego upływu czasu między jednymi a drugimi świętami przychodzi mi na myśl kiedy wspominam miniony 2015 rok i V Zjazd naszego Stowarzyszenia. Już tylko dwa lata do kolejnego Zjazdu. Jedenasty rok naszego Stowarzyszenia zbliża się do końca. Co przyniesie kolejny?

Lata, które za nami dają mi dużą radość i satysfakcję z tego, co wspólnie udało nam się osiągnąć, stworzyć. Kiedy pierwszy raz, w 2005 roku, spotykaliśmy się my - członkowie założyciele w Reymontówce i tworzyliśmy nasze Stowarzyszenie, zapewne niewielu spośród nas wierzyło, że będzie ono trwałe. Że dane będzie nam cieszyć się wspaniałymi jubileuszami; jubileuszem 10-lecia Stowarzyszenia i jubileuszowym 10. numerem Rocznika! Jakże często takie inicjatywy wypalają się szybciej niż słomiany ogień! Jak często brak pomysłów, zapału i chęci powoduje słabnięcie wzajemnej bliskości i obumieranie poczucia wspólnoty - zanim ona jeszcze okrzepnie, nabierze wartości. 11 lat trwania naszego Stowarzyszenia, liczny udział w zjazdach są dowodem na to, że optymizm „ojców założycieli” miał mocne podstawy w ich konsekwentnym, pełnym zapału oraz gotowości poświęcenia własnego czasu i środków materialnych działaniu.

Tekst ten jest moim bardzo osobistym spojrzeniem na te lata. Dlatego też zapewne bardzo subiektywnym. Subiektywnie też chcę teraz wymienić to, co moim zdaniem udało się nam osiągnąć i to co napawa mnie troską o naszą wspólną przyszłość.

Zacznę od tego co mnie bardzo cieszy i z czego jestem bardzo dumny.

1. W dzisiejszym świecie, bardzo silnie zmaterializowanym, świecie w którym nie „być” a „mieć” ma wartość o którą się zabiega, udało się nam odtworzyć poczucie wspólnoty rodowej, wspólnoty pochodzenia. Odbudować coś, co nie mając wartości materialnej, stało się dla nas dużą wartością emocjonalną. Co pozwoliło nam – ludziom z różnych stron kraju, ludziom w różnym wieku, różnego wykształcenia, różnego statusu materialnego i różnych przekonań politycznych poczuć się wspólnotą, poczuć się - w pełnym tego słowa znaczeniu – rodziną! I nie ma w tym co napisałem przesady. Ileż to razy w ciągu tych minionych lat doznawałem gościny w Waszych domach! Gościny wspaniałej, prawdziwie staropolskiej! Gościny w której czułem się jakbym był u siebie w domu. Wspomnieć tu muszę szczególnie gościnne domy: Basi ojca i brata w Zdanach, Ryszarda w Siedlcach, Tomka w Nekli, rodziców Gosi i Łukasza w Starczanowie, Daniela w Poznaniu, ś.p. Ryszarda w Starym Kurowie czy Olka w Złocieńcu. Ileż razy sam miałem okazję gościć wielu z Was w swoich progach! I ile radości mi to przynosiło! Jak bardzo budowało we mnie poczucie wartości wspólnych lat jakie już za nami. To wielka i jakże rzadko dzisiaj spotykana wartość!
2. Stworzyliśmy wspólnie materialne świadectwo i przekaz naszych czasów dla przyszłych pokoleń Chrośnińskich. Roczniki, z jakże różnorodnymi tekstami, będą dla nich wspaniałym źródłem

informacji o nas, o naszej przeszłości ale też o naszej teraźniejszości. A kamień pamiątkowy ustawiony we wsi „skąd nasz ród”, w Chromnej, jest i będzie trwałym świadectwem naszej wspólnoty i naszej pamięci o minionych pokoleniach. Mam nadzieję, że przetrwa wiele kolejnych pokoleń, setki lat! Corocznie wydawane nasze kalendarze też są widowym znakiem trwania naszej więzi wspólnotowej. Kiedy jeszcze pracowałem zawodowo, zawsze kalendarz ten wisiał w moim gabinecie i zawsze był zauważany i bardzo pozytywnie komentowany przez moich gości. Nieraz z nutką zdrowej zazdrości. Wreszcie - strona internetowa. Równie „stara” jak Stowarzyszenie, kalendarz czy Rocznik. Co prawda niezbyt aktywnie korzystamy z niej, zaledwie parę osób systematycznie zagląda na nią, ale jakże potrzebna w dzisiejszych czasach! Cały czas mam nadzieję, że coraz młodsze roczniki naszych członków ożywią ją swoją na niej aktywnością. Wspomnieć też trzeba o licznych już gadżetach rodowych: pierścieniach, piersiówkach, serwisie kawowym, naklejkach samochodowych z naszym herbem i nazwą Stowarzyszenia, flagach i proporczykach samochodowych. Moi goście kawę dostają zawsze w rodowym serwisie i może dlatego zawsze im smakuje?

A teraz o tym, co napawa mnie troską i obawą:

1. Zbyt mały napływ „świeżej, młodej krwi”. Nie wszystkim nam udało się wciągnąć do

Stowarzyszenia nasze dzieci czy wnuki. A to przecież oni powinni przejąć od nas odpowiedzialność za jego trwanie i nadawać mu współczesny im charakter, zachowując równocześnie to co dobre, choć obrośnie „patyną czasu”. Wiem, że to niełatwe zadanie. Mnie samemu udało się wprowadzić w nasze szeregi, od pierwszego dnia, tylko jednego z dwóch moich synów. Zadaniem naszym jest zrobić wszystko, żeby ci którzy już są nie byli tylko „z obowiązku”, ale żeby stali się aktywnymi członkami Stowarzyszenia. I postarać się, żeby ci którzy jeszcze nie są - z radością przystąpili.

2. Jesteśmy w trakcie piątej kadencji władz Stowarzyszenia. Z Waszego wyboru już czwartą kadencję sprawuję zaszczytny urząd prezesa Stowarzyszenia. Dziękuję Wam za to zaufanie które równocześnie jest dla mnie wielkim zobowiązaniem. Ale mam coraz mocniejsze odczucie pewnej dwuznaczności tej sytuacji. Z jednej strony jako wyrazu akceptacji dla mojej aktywności jako prezesa, dla moich pomysłów. Z drugiej strony odbieram to, szczególnie w ostatnich czasach, jako wyraz Waszej bierności. Postawy: „po co mam się wychylać, po co brać na siebie nowe obowiązki, odpowiedzialność? Sławek na pewno zgodzi się, szczególnie jeśli nikt inny nie zgodzi się nawet kandydować. Niech pociągnie jeszcze kolejną kadencję”. Jest to postawa wygodna ale stwarzająca duże prawdopodobieństwo krótkiego żywota naszego Stowarzyszenia. Nie ma co ukrywać, że przez te 11 lat, od naszego pierwszego zjazdu, ja również

postarzałem się. I nieraz mam wrażenie, że nie o 11 ale o 22 lata. Daj mi Panie Boże jeszcze wiele lat życia ale kalendarz jest nieubłagany. Coraz mniej czasu przede mną, coraz trudniej przychodzi mi realizować obowiązki prezesa. Bardzo obawiam się sytuacji w której ja nie mógłbym dalej wypełniać tych obowiązków, a równocześnie nikt nie chciałby się podjąć tego zadania. Co wówczas? Co ze Stowarzyszeniem, jego dorobkiem, majątkiem itp.? Co z jego przyszłością? Dlatego nie możemy udawać, że sprawa następstwa na funkcji prezesa nie jest teraz najważniejszym problemem jaki musimy rozwiązać na najbliższym, VI Zjeździe Stowarzyszenia.

3. Składam wobec Was wszystkich oświadczenie, że na najbliższym Zjeździe nie zgodzę się kolejny raz kandydować w wyborach prezesa. Nie zgodzę się dlatego, że groziłoby to dalszemu bytowi Stowarzyszenia. Robię to nie z osobistych pobudek, a w trosce o przyszłość Stowarzyszenia. Mamy jeszcze ponad dwa lata. To wystarczający czas, żeby przemyśleć, przedyskutować w różnych większych czy mniejszych gremiach tę sprawę, sprawę następstwa. Żeby przyjechać na najbliższy zjazd z konkretnymi rozwiązaniami. Mamy stronę internetową na której możemy uruchomić forum dyskusyjne dla wszystkich członków. Ja ze swej strony obiecuję, że żadnego głosu w tej sprawie nie zostawię bez odpowiedzi. I że w nowej kadencji, nowemu prezesowi będę pomagał ze wszystkich sił i z nie mniejszym niż dotychczas zapalem.

4. Najgorzej byłoby, gdyby ten tekst, ta moja deklaracja, pozostały bez Waszej reakcji, bez Waszej odpowiedzi. Dzisiaj wydaje mi się to niemożliwe. I apeluję do wszystkich, a szczególnie do tych którzy wiedzą, że szczególnie od nich oczekuję głosu w dyskusji, o niezwłoczne jej podjęcie. O przedstawienie swoich przemyśleń i propozycji rozwiązania tego problemu. Brak takiej dyskusji, brak jasnych deklaracji w tej sprawie, a szczególnie brak osoby chętnej do przejęcia funkcji prezesa, zmusi nas, zmusi mnie jako ustępującego prezesa, do działań odpowiedzialnych choć radykalnych. Do postawienia na zjeździe wniosku o likwidację naszego Stowarzyszenia. Bez zarządu (prezesa) Stowarzyszenia nie może istnieć.

Kończąc ten tekst chcę gorąco podziękować Wam wszystkim za te wspólne 11 lat. Ale szczególnie gorąco dziękuję moim najbliższym współpracownikom: Ryszardowi z Siedlec, przewodniczącemu Rady Starszych, Halince Tatarzyńskiej, wspaniałej skarbniczce, Olkowi ze Złocieńca, naszemu archiwście i na koniec Marii, mojej żonie i sekretarzowi Rady Starszych, za wspaniałą współpracę, za wzorowe wykonywanie Waszych obowiązków. Wszystko co udało mi się osiągnąć, zrealizować w ciągu ostatnich lat, zrealizowałem dzięki Wam, Waszemu zaangażowaniu i profesjonalizmowi. Współpraca z Wami była prawdziwą przyjemnością i zaszczytem dla mnie.

Sławek

Prezes Stowarzyszenia Rodu Chromińskich

Jan Piotr Chromiński 1928-2002

25 listopada 2016 r. minie już 14 lat od śmierci mojego stryjka Jana Piotra Chromińskiego, na co dzień zwanego „wujkiem Piotrkiem”. Wujek Piotrek to młodszy brat mojego taty, Władysława Aleksandra Chromińskiego, urodzony 14 września 1928 r. Miał 4 lata, jak zmarł jego tata, a mój dziadek Bolesław, stąd nie mógł go pamiętać. Babcia Marianna zawsze mówiła do wujka, że jest bardzo podobny do ojca. I faktycznie, tak jak pamiętam, miał nieco inne rysy twarzy, niż mój tata, czy najmłodszy, wujek Mietek – oni byli bardziej podobni do rodu Borkowskich, z którego wywodziła się moja babcia Marianna; wujek Piotrek był także postawnym mężczyzną, miał ponad 1.80 cm wzrostu. Większość życia spędził pod Lublinem, w okolicach Trawnik, gdzie pracował na kolei. Tam też poznał swoją przyszłą żonę, Krystynę Bielecką. Nie mieli dzieci, kiedy więc zmarła ciocia Krystyna w 1987 r. z pewnością często doskwierała mu samotność, pomimo dobrych relacji z mieszkającą nieopodal rodziną cioci Krystyny. Częściej też wtedy, jak pamiętam, zaczął przyjeżdżać do nas do Zdan i zostawać na kilka dni, a już obowiązkowo przyjeżdżał na każde święta. Poza tym był bardzo zżyty z moim tatą i zawsze bardzo wyczekiwany, zwłaszcza przez swoją mamę, a moją babcię Mariannę. Jak pamiętam, wujek Piotrek był bardzo życzliwą i pogodną osobą, nawet jak się dowiedział o chorobie nowotworowej, w niedługim czasie po Świętach



Wielkiej Nocy w 2002 r., spędzonych tradycyjnie w Zdanach, starał się „trzymać” i nie załamywać się. Wziął aktywnie udział w imprezie imieninowej mojego taty w czerwcu w 2002 r., a następnie w wakacje 2002 r. wspólnie z moim tatą wybrali się na małą przejażdżkę i odwiedzili mnie w Warszawie, a potem zajechali do mojej siostry Eli do Skierniewic. Pamiętam, jak odwiedziłyśmy wujka Piotrka później z siostrą w szpitalu w Lublinie i jak się bardzo ucieszył, kiedy nas zobaczył. Leki powstrzymały trochę proces nowotworowy i wujek Piotrek mógł przyjechać do nas na Wszystkich Świętych w 2002 r. Jak się później okazało, to były już nasze ostatnie wspólne święta i ostatnie spotkanie. Wujek zmarł 25 listopada 2002 r., prawdopodobnie był to zawał, bowiem wujek borykał się też z nadciśnieniem. Wiadomość o jego śmierci była szokiem. Pogrzeb wuja zgromadził sporo osób, co nie przeszło uwadze księdza odprawiającego mszę św. i który nie omieszkął, jak zapamiętałam, powiedzieć, że obecność tu zgromadzonych świadczy o tym, jaki był zmarły, bo choć człowiek samotny i stary, to jednak tak wiele osób przyszło towarzyszyć mu w ostatniej drodze.

Wujek Piotrek wiele razy powtarzał, że chce być pochowany przy swojej żonie Krystynie. Spełniliśmy jego wolę i wujek spoczywa na cmentarzu w miejscowości Kanie w okolicach Trawnik. Pamiętamy wujka Piotrka i staramy się przynajmniej raz w roku go odwiedzić i zapalić świeczkę. Pomimo, że minęło już sporo czasu od jego śmierci, na zawsze pozostanie w naszych sercach.

Basia

Wniosła do rodziny oświaty kaganek

Aniela Michalina Chromińska ur. 1 listopada 1907 roku, jako najmłodsze z dzieci Pauliny z domu Pióro i pochodzącego z Dziewul Franciszka Chromińskiego. Wychowywała się w domu rodzinnym w Modrzewiu wraz z siostrą Pelagią oraz braćmi Wojciechem i Edwardem.



Jako nastolatka przysposabiała się do zawodu krawcowej u Pani Ostrowskiej w Zbuczynie. Po zakończeniu nauki rodzice wyposażyli ją w maszynę do szycia Singer, której wartość wtedy przekraczała dwie krowy. W duszy Anieli już wtedy zrodziło się powołanie do życia zakonnego. Ten pomysł nie spotkał się jednak z akceptacją jej ojca. Aniela uszanowała jego wolę. W 1935 roku miał miejsce wielki pożar Modrzewia. W tym właśnie roku, a było to 4 lata po śmierci Franciszka, Aniela poszła do zakonu.

Do Zgromadzenia Sióstr Pasjonistek w Płocku wstąpiła 7 grudnia 1935 r. 12 sierpnia 1936 r. rozpoczęła nowicjat i przyjęła imię siostra Alicja. Pierwszą profesję złożyła 12 sierpnia 1938, a wieczystą 12 sierpnia 1945 r. Jej praca apostołska to w większości życia praca pielęgniarska. W zgromadzeniu ukończyła kursy księgowości i pielęgniarski zakończony dyplomem. Pierwsza jej praca od 1938 do 1941 r, do której skierowana została przez założycielkę Matkę Józefę Hałacińską, to szpital w Płońsku. W 1943 r. została skierowana do Warszawy, gdzie przy ulicy Belgijskiej 4 siostry prowadziły Ognisko i Przedszkole dla dzieci.



*Siostra Alicja (z lewej) i siostra Remigia
(z prawej)*

pracowała przez kilka miesięcy, jako higienistka w tym Ognisku. Następnie przez dwa lata pracowała w Otwocku przy Sanatorium, jako magazynierka. Stamtąd została przeniesiona do Główna. Była tam (1945-48) przełożoną Wspólnoty i kierowniczką Domu Opieki dla Dorosłych. W latach 1949-1951 pracowała w Szpitalu Zakaźnym w Pułtusk. Z Pułtuszka przybyła do Płocka do Domu Generalnego. Na Kapitule generalnej w 1951 r. została wybrana III radną generalną i ekonomką. Po sześciu latach wróciła do Pułtuszka i pracowała w szpitalu, jako pielęgniarka do 1967 r. S. Alicja, człowiek wielkiej dobroci i miłości w ostatnich latach życia ciężko chorowała i cierpiała. Mimo dobrej opieki medycznej zmarła 24 września 1967 r. w Pułtusk.

Aniela do rodziny przyjeżdżała rzadko. Jej krótkie 2-3 dniowe pobyty miały miejsce z reguły przy okazji pogrzebu w najbliższej rodzinie. Wyjątkiem był dłuższy pobyt wraz z siostrą Remigią Stanisławą Ościłowską w czasie wojny. Mieszkały wtedy u Wojciecha, a Aniela zajmowała się krawiectwem. W 1960 roku, kiedy Edward przechodził poważną operację żołądka w Lublinie, była przy jego łóżku przez wiele dni. Ostatni raz odwiedziła rodzinę w Modrzewiu w 1965 roku. Gromadka wnuków Edwarda i Wojciecha prześcigała się, kto będzie trzymał ciocię Anielę za rękę podczas spaceru.

Córka Edwarda – Helenka – tak ją nazywała, odwiedzała Anielę w zakonie wielokrotnie. Podczas wizyty miała do dyspozycji pokój gościnny, a spotykały się na świetlicy. Nigdy nie była w celi Anieli. Z tamtych spotkań wspomina Anielę, jako osobę ciepłą, serdeczną aczkolwiek zdecydowaną i stanowczą. Często do siebie pisały. Z zachowanych listów wylania się troska Anieli o los Helenki, która przecież od 15 roku życia wychowywała się bez matki. Wielokrotnie prosząc Helenkę, aby ta dbała o zdrowie, ciepło się ubierała oraz dobrze się odżywiała dając wyraz niedostatku, jakiego doświadczyła w młodości. Świadoma trudów pracy na roli, zachęca ją do zdobywania wykształcenia, które postrzega, jako przepustkę do lepszego świata. Gdy po śmierci matki Helenka porzuca szkołę, dostaje list od Anieli taki, że „aż jej w pięty zaszło”. Nie zachował się niestety. Po latach Aniela wyznaje swój szacunek dla tamtej 15 letniej dziewczynki, która po śmierci matki zajęła się prowadzeniem domu i nie przeszkodziło jej to w zdobyciu wykształcenia.

W liście z 1965 roku Aniela zostawia nam swoje przesłanie:

„Nie ma nic lepszego, jak czas wypełniony pracą i modlitwą. Biegnie on wtedy bardzo szybko, tak że człowiek nie wie kiedy te lata upłynęły i obejrzy się – a tu już starość, o ile Bóg pozwoli jej doczekać. Wtedy dopiero doceni się młodość, jak trzeba ją wykorzystywać dla Boga i dla ludzi.”

Ile mądrość, troska i modlitwa Anieli dały rodzinie Chromińskich? Wierzę, że bardzo dużo. Duch modlitwy, ciężkiej pracy, zainteresowania drugim człowiekiem, ciągłego doskonalenia się zaszczerpiony przez nią jest obecny wśród nas. Chwała jej za to.

Pogrzeb Anieli Alicji Chromińskiej odbył się 27 września w kościele św. Krzyża w Pułtusk. W ceremonii pogrzebowej uczestniczyło 5 kapłanów, 48 sióstr Pasjonistek, kilka sióstr z innych zgromadzeń, delegacja służby zdrowia i licznie zebrani wierni. Z rodziny w ostatniej drodze towarzyszył jej brat Edward i jego córka Helena.

24 września 2017 roku w 50-lecie śmierci Anieli podczas eucharystii w kościele Św. Krzyża w Pułtusk będziemy dziękować Panu, że postawił Ją wśród nas.

Irek

W tym roku ojciec profesor Marek Sokołowski SJ ponownie przekazał swój tekst w celu umieszczenia go w naszym Roczniku. Jestem przekonany, że wzbudzi on duże zainteresowanie wśród naszych czytelników. Zapraszam do lektury.

Jezuici i Kościół hierarchiczny. Czarna legenda.

Trzeba zauważyć, że od początku istnienia zakonu jezuitów był on przedmiotem podejrzeń i krytyk, co doprowadziło do powstania i ugruntowania się tzw. czarnej legendy jezuitów.

Założycielem Towarzystwa Jezusowego jest św. Ignacy Loyola. Powstało ono formalnie na mocy bulli „Regimini Militantis Ecclesiae” ogłoszonej przez Papieża Pawła III w dniu 27 września 1540 roku. W zatwierdzonej wówczas Formule Instytutu czytamy m.in.: „I chociaż Ewangelia nas uczy i przez wiarę prawdziwą poznajemy, a także z całej mocy wyznajemy, że wszyscy wierni Chrystusa podlegają Ojcu Świętemu jako Głowie i jako Namiestnikowi Jezusa Chrystusa, to jednak żeby okazać większą pokorę naszego Towarzystwa oraz doskonale umartwienie każdego z nas i zaparcie się własnej woli, uznaliśmy za rzecz niezwykle pożyteczną, by się każdy z nas związał szczególnym ślubem oprócz wspólnego z innymi zobowiązania. W ten sposób bierzemy na siebie obowiązek, iż bez wahania lub

wymawiania się, natychmiast wykonamy to, co obecny Papież lub inni późniejsi Papieże nam nakażą”. I choć jezuita poważnie traktowali owo zobowiązanie, którego wyrazem jest tzw. IV ślub, a Papieże korzystali z niego wysyłając jezuitów z trudnymi misjami w różne części świata, to – jak zauważa hinduski jezuita, Francis de Melo¹, dość szybko przyłgął do jezuitów dowcip, iż „nawet Bóg nie wie, co jezuita zamierza zrobić”, a pisma i apostolskie zaangażowanie jezuitów budziły nierzadko zaniepokojenie Kościoła hierarchicznego.

Można powiedzieć, że od początku istnienia zakonu jezuitów towarzyszyła mu czarna legenda. Jej korzenie sięgają zresztą czasów sprzed formalnego założenia. Wystarczy wspomnieć, że Ignacy z Loyoli, choć dla wielu pozostał symbolem wiernego i walecznego papisty, wielokrotnie musiał udowadniać swoją ortodoksyjność przed inkwizycją i kardynałami Stolicy Apostolskiej. W roku 1538, będąc już w Rzymie, Ignacy i jego pierwsi towarzysze musieli skonfrontować się z wieloma oskarżeniami. O tym okresie Ignacy z Loyoli tak pisał w liście do Izabeli Roser: „Sprawa wyglądała tak, iż przez osiem miesięcy znosiliśmy najcięższe przeciwnieństwa i prześladowania w życiu. Nie

1

chcę powiedzieć, że nas szykanowano, wzywając przed sąd czy w jakiś inny sposób, lecz rozpuszczano plotki i nazywano nas w sposób niesłychany, przez co byliśmy dla ludzi podejrzanymi i nienawidzono nas”².

Ciekawe, że w tego rodzaju sytuacjach Ignacy był bardzo zdeterminowany, aby rozwiązać wszelkie podejrzenia poprzez wydanie przez kompetentne gremium wyroku. Założyciel jezuitów nie postępował w ten sposób z powodu osobistej pychy i zaciętrzewienia, ale dlatego, że wiedział, iż wszelkie plotki mogą się ciągnąć za nim i jego grupą uniemożliwiając skuteczną działalność apostołską.

Jednak czarna legenda jezuitów rosła wraz z rozwojem zakonu. 50 lat po śmierci o. Ignacego Loyoli, jezuita Kasper Sawicki pisał tyleż z ubolewaniem, co drwiną: „Co się w świecie urodzi, zwłaszcza nietrafnego, tego wszystkiego jezuitowie przyczyną, [...] wyglądam rychło, kto się ozwie i pokaże, że i Jadam by nie zgrzeszył w raju, ani by się nie dał Jewie namówić na jabłko, by był jeden jezuita weń nie wmówił. I Kain by nie zabił Abła, by był mu jezuita pałki nie podał”.

Do umocnienia się czarnej legendy Towarzystwa Jezusowego przyczynił się walenie niejaki Hieronim Zahorowski. Urodził się on w rodzinie prawosławnej na Wołyniu. Przeszedł na katolicyzm w szkołach jezuickich w Lublinie. Wstąpił do Towarzystwa

2 Cyt. za J.L.M. Vigil, *Ja, Ignacy Loyola*, Kraków 2003, s. 163.

Jezusowego w roku 1599 w Krakowie. Jednak w roku 1613 - już po przyjęciu święceń kapłańskich - został zdymisjonowany z zakonu. Rok później w jednej z krakowskich drukarni powstała broszurka „Monita secreta” (Poufne rady jezuitów), będąca ostrym pamfletem antyjezuickim. „Monita secreta” zostały napisane tak, jak gdyby były to tajne instrukcje przeznaczone do użytku wewnętrznego zakonu, napisane przez samego Generała Klaudiusza Acquivivę. Broszurka wywołała wielkie poruszenie w Europie. Do końca XVII w. ukazały się jej 22 edycje.

Autorem pamfletu był nie kto inny, ale właśnie Hieronim Zahorowski, zdymisjonowany jezuita. Dodajmy za „Encyklopedią wiedzy o jezuitach”³, że Zahorowski pod koniec życia pojednał się z jezuitami i został pochowany w podziemiach kościoła jezuitów w Lublinie. Tyle że jego pamflet żył już własnym życiem.

Jezuici skasowani rękami Papieża

W XVI-XVII w. jezuici odnosili znaczące sukcesy misyjne. Budziły one jednak wątpliwości, czy poszukując spotkania wiary i rodzimej kultury, nie gubiono gdzieś definiowanej przez Rzym ortodoksji. Najbardziej znanym misjonarzem jezuickim jest Franciszek Ksawery, który przez 10 ostatnich lat swego

3 Zob. *Encyklopedia wiedzy o jezuitach na ziemiach Polski i Litwy 1564-1995*, Kraków 1996, s. 777.

życia apostołował w Indiach i Japonii. Zmarł w 1552 roku na wyspie Sancian u wybrzeży Chin. W liturgiczne wspomnienie św. Franciszka Ksawerego, 3 grudnia, w brewiarzu czytamy fragment jego słynnego listu do Ignacego Loyoli: „W tych krajach – pisał Ksawery – bardzo wielu nie jest chrześcijanami tylko dlatego, że nie ma nikogo, kto by wśród nich apostołował. Często wspominam, jak to dawniej, na uczelniach europejskich, a szczególnie na Sorbonie, wyszedłszy z siebie, krzychałem do tych, którzy mają więcej wiedzy niż miłości, i nawoływałem ich tymi słowami: O, jak wiele dusz z waszej winy traci niebo i pogrąża się w otchłań piekła”.

Te żarliwe słowa porywczego Franciszka uznajemy dziś za raczej przesadne. W przeciwieństwie do Ksawerego wiemy, że można mieć nadzieję na zbawienie ludzi, nawet jeśli nie przynależą oni do Kościoła widzialnego. Jednak warto otworzyć się na wołanie Franciszka Ksawerego, który przypomina nam, że refleksja teologiczna winna służyć przepowiadaniu Ewangelii o zbawieniu w Jezusie Chrystusie.

Pół wieku po Ksawerym w Indiach pojawił się Roberto de Nobili (zm. 1656), genialny Włoch, siostrzeniec kardynała Bellarmina. Co do zewnętrznych form, przyjął styl życia braminów. Nauczył się języków świętych ksiąg i wkrótce okazało się, że zna lepiej literaturę braminów niż oni sami. W ten sposób, wchodząc drzwiami miejscowej kultury i religii, wielu doprowadził do przyjęcia chrześcijaństwa. Musiał jednak

udzielać różnego rodzaju wyjaśnień Rzymowi, gdyż jego sposób apostołowania spotykał się z zarzutem, że po cichu sprzyja on pogaństwu.

Wielu wybitnych naśladowców de Nobilego miało podobne trudności. Jeszcze więcej sporów wywoływała działalność jezuickich misjonarzy w Chinach, wśród których najwybitniejszym był Matteo Ricci⁴. Dotarł on – jako pierwszy Europejczyk – do wnętrza Chin w roku 1595. Stosował odważne i skuteczne metody inkulturacji Ewangelii. Dla mandarynów stał się mandarynem, aby móc głosić Ewangelię. Ocenia się, że w roku 1664 liczba katolików w Chinach wzrosła do 237 tys.

W zupełnie innej części ziemskiego globu, a mianowicie w Ameryce Południowej, jezuici stosowali podobne metody, czego skutkiem były m.in. słynne „redukcje paragwajskie”. Jeden z ich twórców, o. Antonio Ruiz de Montoya, w swej książce „Podbój duchowy” głosił, że „Indianie mają być ludźmi wolnymi, wartościowymi obywatelami, poddanymi króla, z tego tytułu cieszącymi się wszelkimi należnymi im prawami. Dopiero w ten sposób i na takiej podstawie będzie można zaprowadzić pokój między tubylcami a ludnością napływową z Europy i budować na fundamencie porozumienia zgodne społeczeństwo. W żadnym razie natomiast – przekonywał – nie należy przystępować do

4 Zob. A. Sergianni, *Cristo fra i Cinesi. La figura di P. Matteo Ricci*, Frascati (Roma) 2006.

próby uczynienia z Indian Europejczyków. Owszem, trzeba im udostępnić europejskie zdobycze cywilizacyjne [...] Należy uszanować ich odrębność, tradycję, mentalność, usposobienie i języki. W takim duchu wypowiadał się w XVII wieku, w epoce, gdy – jak zauważa Jan Gać – Europa spływała krwią wojen religijnych!”⁵.

Niestety, przeciwnicy jezuitów (różni mieli różne powody, aby być przeciwnikami) mnożyli w Rzymie ataki na sposób apostołowania jezuitów. Jednocześnie franciszkańscy i dominikańscy misjonarze działali w zupełnie inny sposób. Np. Chińczykom tłumaczyli, że Konfucjusz, a także ich własni przodkowie, z całą pewnością są w piekle, skoro nie byli ochrzczeni. Skrajna interpretacja hasła „extra ecclesiam nulla salus” skutecznie zniechęcało dumnych ze swej kultury tubylców do przyjmowania chrześcijaństwa.

Działalność jezuitów w Chinach i Indiach w dużej mierze potępiono. Stworzony przez jezuitów – oparty na inkulturacji – obrządek malabarski został w roku 1734 przez Benedykta XIII całkowicie skasowany. Redukcje paragwajskie też zostały zlikwidowane – i to krwawo – w połowie XVIII wieku.

W tym czasie w Europie formułowano przeciw jezuitom takie np. zarzuty, że w swych szkołach starali się zgromadzić „najwspanialsze umysły świata i tak

5 J. Gać, *Podbój duchowy. Antonio Ruiz de Montoya, w: Miejsca Święte* 10 (2007), s. 21.

je wyszkolić, by papieżowi nigdy nie zabrakło narzędzi do zabijania królów”. Synów św. Ignacego oskarżano o wywoływanie wojen religijnych, posiadanie tajnych składów broni, spiski i skryte morderstwa.

Nic dziwnego, że w roku 1773 roku papież Klemens XIV – pod naciskiem europejskich monarchii wydał *breve*, na mocy którego skasowano Towarzystwo Jezusowe. Oto ci, którzy składali IV ślub posłuszeństwa Biskupowi Rzymu, chcąc być jego wiernymi sługami, zostali przez niego rozwiązani.

Czy jezuici byli jedynie ofiarami zawistnych i potężnych sił, czy też jednak było w ich postępowaniu coś niewłaściwego, co ściągnęło gromy? – to pytanie wciąż czeka na pogłębioną odpowiedź.

Soborowy zwrot w Towarzystwie Jezusowym

Po kilkudziesięciu latach Kościół doszedł do wniosku, że jezuici są mu potrzebni. Papież Pius VII wznowił zakon św. Ignacego w roku 1814. Szczególnie intensywny rozwój Towarzystwo Jezusowe zanotowało w latach 1915-1942, czyli w okresie rządów Generała Włodzimierza Ledóchowskiego, do którego często odnoszono określenie „czarny papież”. Wraz z zakończeniem Soboru Watykańskiego II Towarzystwo Jezusowe zaczęło zmieniać styl i treść swojego bycia i działania zgodnie z hasłem „aggiornamento”.

W 1965 roku generałem zakonu zostaje wybrany Bask, były prowincjał Japonii, Pedro Arrupe. W roku

1966, na zakończenie Kongregacji Generalnej 31, Papież Paweł VI wygłosił do jezuitów przemówienie, którego ostatnie słowa brzmiały: „Chrystus Was wybrał, Kościół Was posyła, Papież Wam błogosławi!”. W tym samym jednak przemówieniu Paweł VI z pewną nutą patosu i goryczy mówił: „Czy zamierzacie Wy, synowie świętego Ignacego, żołnierze Towarzystwa Jezusowego być i obecnie i w przyszłości i zawsze takimi, jakimi byliście od zarania Waszych dziejów, aż dotąd, dla pożytku Kościoła katolickiego i tej Stolicy Apostolskiej? Nie byłoby powodu pytać Was o to, gdyby odnośnie tegoż Towarzystwa Waszego [...] nie doszły do Naszych uszu pewne słuchy i wiadomości, które – nie możemy tego zataić – wprowadziły Nas w zdumienie, a niektóre z nich przejęły bólem”.

W dalszej części swego przemówienia Papież doprecyzował, że m.in. zaniepokoiły go wieści o tym, jakoby jezuici chcieli „osłabić to surowe i męskie posłuszeństwo, które zawsze było cechą Waszego Towarzystwa”.

Minęło 10 lat. Jezuici zebrali się na kolejnej, XXXII, Kongregacji Generalnej. W tym czasie Towarzystwo Jezusowe pod przywództwem charyzmatycznego Pedro Arrupe szukało nowych dróg realizowania swej misji. Zdaniem Stolicy Apostolskiej nie zawsze były to usiłowania udane. W przemówieniu wygłoszonym 3 grudnia 1974 roku do członków Kongregacji Paweł VI powiedział m.in.: „A oto dzisiaj, wiecie to równie dobrze jak My, w szeregach Waszych

ujawnia się stan głębokiego niepokoju i niepewności. Podważa się nawet fundamentalne podstawy Waszej tożsamości”. Po czym pytał: „Jak wygląda gotowość do pełnej zaufania współpracy z papieżem? Te «chmury», które widzieliśmy na niebie 1966 roku, jeśli się nawet w znacznej mierze rozwiały [...], czyż niestety nie rzuciły zbyt długo cienia na Wasz Instytut? Nazbyt często zdarzają się jeszcze pożałowania godne fakty, które budzą wątpliwość, czy ktoś jeszcze należy do Towarzystwa”.

A po Kongregacji, Stolica Apostolska sformułowała kilka uwag dotyczących niektórych dekretów przyjętych przez Kongregację. Odnośnie do dekretu „O naszej misji dzisiaj: posługa wiary i szerzenia sprawiedliwości” przypomniano słowa Pawła VI, wypowiedziane na zamknięcie Synodu Biskupów 26 października 1974 roku: „nie należy ponad miarę wynosić rozwoju ludzkości w dziedzinie materialnej i społecznej ze szkodą dla zasadniczej sprawy, za jaką Kościół uważa ewangelizację, czyli głoszenie pełnej Ewangelii”. Niewątpliwie w tamtym czasie istniało pomiędzy jezuitami i Stolicą Apostolską pewne napięcie dotyczące rozumienia relacji pomiędzy wiarą katolicką i zaangażowaniem na rzecz sprawiedliwości.

7 sierpnia 1981 roku, czyli niespełna 3 miesiące po zamachu na Jana Pawła II, Generał jezuitów, Pedro Arrupe, doznał wylewu, który spowodował paraliż i uniemożliwił mówienie. Wydawało się, że w tej sytuacji dość szybko zostanie zwołana Kongregacja Generalna,

która wybierze nowego generała. Tak się jednak nie stało. Jan Paweł II mianował sam swego delegata do tymczasowego zarządzania Towarzystwem Jezusowym. Został nim prawie 80-letni o. Paolo Dezza, doświadczony jezuita, spowiednik Papieży Pawła VI i Jana Pawła I.

Wielu jezuitów przyjęło tę decyzję jako wyraz braku zaufania ze strony Papieża. Kongregacja elekcyjna zebrała się dwa lata później, we wrześniu 1983 roku. Towarzystwo Jezusowe wybrało o. Petera-Hansa Kolvenbacha na swego przełożonego generalnego. W homilii wygłoszonej podczas Mszy św. na rozpoczęcie Kongregacji Jan Paweł II powiedział m.in.: „Wasza Kongregacja Generalna jest wydarzeniem, które będzie mieć również ważne reperkusje w życiu Kościoła. Właśnie dlatego także i ja żywo się nią interesuję. Towarzystwo Jezusowe jest przecież w dalszym ciągu najliczniejszym zakonem; jest ono rozsiane po wszystkich częściach świata. [...] Z tego powodu wielu – zarówno księży jak i świeckich, zarówno zakonników jak i zakonnic – wpatruje się w was; to, co czynicie, ma często oddźwięk, jakiego sami nie podejrzewacie”.

Mówiąc, czego oczekuje od jezuitów, Papież zwrócił uwagę – tak jak to wcześniej uczynił Paweł VI – na pewne niebezpieczeństwo związane z zaangażowaniem na rzecz sprawiedliwości: „Ta działalność musi być - w waszym przypadku - prowadzona zgodnie z waszym powołaniem zakonnym i kapłańskim, bez mieszania zadań właściwych kapłanom z zadaniami ludzi świeckich i bez ulegania «pokusie ograniczania misji

Kościół do wymiarów czysto doczesnych» (*Evangelii Nuntiandi*, 32)».

Wypowiadając te słowa Jan Paweł II miał zapewne na myśli m. in. Fernando Cardenala, jezuitę, który zaangażował się w Nikaragui w działalność rewolucyjną, a w rządzie sandinistów pełnił funkcję ministra oświaty. W marcu 1983 roku Papież odbył pielgrzymkę do tego kraju, gdzie doznał wielu upokorzeń. Podczas Mszy św., a szczególnie podczas swej homilii, musiał znosić głośne, prowokacyjne wznoszenie komunistycznych haseł. Teologia wyzwolenia, szczególnie jej co bardziej marksistowskie wersje, budziła wówczas burzliwe dyskusje i spory. Zresztą tamte kontrowersje dziś też są obecne w Kościele, przede wszystkim w Ameryce Łacińskiej i Afryce.

Rządy o. Petera-Hansa Kolvenbacha, po burzliwym okresie w latach 1981-1983, przyniosły uspokojenie w relacjach pomiędzy Towarzystwem Jezusowym i Stolicą Apostolską. Jezuita nadal prowadził papieskie uczelnie w Rzymie oraz Radio Watykańskie, angażowali się w organizację papieskich pielgrzymek. Jan Paweł II korzystał z jezuitów w przeprowadzaniu różnego rodzaju misji specjalnych. Jednak wciąż – od czasu do czasu – pojawiały się jakieś trudne sytuacje.

Kongregacja Generalna 34, która odbyła się w 1995 roku, dała temu wyraz w Dekrecie zatytułowanym „O właściwą postawę służby w Kościele”. Odnosząc się

do pracy na polu kultury i nauki jezuici zebrani wówczas na Kongregacji stwierdzili m.in.: „istnieją silne «napięcia w samym Kościele, od których Towarzystwo nie może się odciąć, a ze względu na swe apostołskie zaangażowanie, jezuici w sposób nieunikniony włączeni są w konfliktowe, a nawet wybuchowe sytuacje wewnątrzkościelne». Nasza odpowiedź na takie sytuacje może wywoływać napięcia w stosunkach z niektórymi władzami kościelnymi. Mimo – a raczej na skutek – naszego szczerego pragnienia, by żyć w wierności wobec Magisterium i hierarchii, może się zdarzyć, że pocujemy się usprawiedliwieni, a nawet zobowiązani zabrać głos w sposób, który nie zawsze przyniesie nam powszechne uznanie, a niekiedy może pociągnąć za sobą sankcje przykre dla Towarzystwa i utrudniające naszą pracę. Tego rodzaju działalność nie stawia jezuitę w sytuacji nieposłuszeństwa czy buntu. Ignacjańskie posłuszeństwo, pozostając w zgodzie z tradycją teologii katolickiej, uznawało zawsze, że musimy być przede wszystkim wierni Bogu, prawdzie i dobrze uformowanemu sumieniu” (KG34, nr 310, 311). Ta subtelnie sformułowana wypowiedź została przez niektórych ludzi Kościoła zinterpretowana jako „jezuicka” furtka, by nie zawsze postępować za wskazaniem papieża i Stolicy Apostolskiej.

Kongregacja Generalna 35. - pojednanie z
Kościołem?

Na początku 2008 roku jezuici zebrali się na kolejnej Kongregacji Generalnej. Wiadomo było, że najważniejszym zadaniem będzie wybór nowego generała jako że Benedykt XVI przyjął rezygnację Petera-Hansa Kolvenbacha, złożoną z racji wieku i słabnącego zdrowia. Wiadomo było też, że Kongregacja podejmie refleksję nad tematami, które uzna za najważniejsze dla stanu i misji jezuitów dzisiaj. Wśród tzw. postulatów nadsyłanych z różnych prowincji przeważały kwestie zaangażowania na rzecz wpływającej z wiary sprawiedliwości (wiele postulatów dotyczyło zagrożeń ekologicznych).

Okazało się jednak, że wielki wpływ na przebieg Kongregacji i na treść ogłoszonych przez nią dekretów miał Benedykt XVI. Kiedy w auli kongregacyjnej przeczytano list, jaki Papież wysłał do o. Petera-Hansa Kolvenbacha na początek Kongregacji, dla większości delegatów stało się jasne, że nie można przejść obok tego listu, jak obok czegoś jedynie okolicznościowo-grzecznościowego. Słowa tego listu zostały potem rozwinięte i wzmocnione w przemówieniu, jakie Benedykt XVI wygłosił podczas specjalnej audiencji dla uczestników Kongregacji.

W liście do o. Kolvenbacha Ojciec święty napisał m.in.: „Życzę gorąco, aby obecna Kongregacja potwierdziła jednoznacznie autentyczny charyzmat Założyciela, by zachęcić wszystkich jezuitów do głoszenia prawdziwej i zdrowej doktryny katolickiej. [...] Byłoby ze wszech miar pożyteczne, gdyby Kongregacja

Generalna potwierdziła, w duchu św. Ignacego, swe całkowite przyłgnięcie do doktryny katolickiej, szczególnie w newralgicznych punktach, dziś mocno atakowanych przez kulturę świecką jak np. relacja między Chrystusem a religiami, niektóre aspekty teologii wyzwolenia i różne punkty moralności seksualnej, przede wszystkim w tym, co dotyczy nierozzerwalności małżeństwa i duszpasterstwa osób homoseksualnych”.

W przemówieniu zaś podczas audiencji papież powiedział: „Zaprosiłem Was i zapraszam również dziś do refleksji, aby odnaleźć pełniejszy sens charakterystycznego dla Was «czwartego ślubu» posłuszeństwa Następcy Piotra, który nie oznacza jedynie gotowości do bycia posłanym z misją na dalekie lądy, ale także – w najbardziej autentycznym ignacjańskim duchu «czucia z Kościołem i w Kościele» – do «kochania i służenia» Wikariuszowi Chrystusowemu na ziemi z «efektywnym i afektywnym» oddaniem, które powinno z was uczynić cennych i niezastąpionych współpracowników w jego służbie Kościołowi powszechnemu”.

To papieskie wołanie o posłuszeństwo również w jego afektywnym (uczuciowym) wymiarze zrobiło na jezuitach wrażenie. Było ono bardzo ojcowskie, ciepłe i stanowcze zarazem.. I nie chodziło w nim o postawę „bierny, ale wierny”, czy też o porzucenie odwagi działania na granicach, poszukiwania nowych dróg ewangelizacji i dialogu. Benedykt XVI wspomniał przecież „Redukcje” w Ameryce Łacińskiej i przywołał postaci takich „niepokornych” jezuitów jak Matteo Ricci

czy Roberto de Nobili. „Jesteście z nich słusznie dumni” – powiedział do jezuitów. I kontynuował: „Czuję dzisiaj powinność, aby zachęcić was do wejścia na szlak waszych poprzedników z taką samą odwagą i inteligencją, ale również z podobnie głęboką motywacją wiary oraz pasją służenia Panu i Jego Kościołowi”.

Zebrani na Kongregacji jezuita odpowiedzieli na papieskie słowa i wypracowali tekst, który stał się pierwszym dekretem Kongregacji. Został on zatytułowany: „Z odnowioną siłą i gorliwością. Odpowiedź Towarzystwa Jezusowego na zaproszenie Ojca świętego”. Stwierdza on, że list i przemówienie Benedykta XVI otwierają przed jezuitami nową epokę, w której możemy na nowo, głębiej podjąć misję, dla której Duch Boży chce jezuitów w Kościele.

W Dekrecie czytamy: „Wzywamy każdego jezuitę do rozważenia [...] „właściwej postawy służby w Kościele”, która powinna nas cechować. Oznacza to uznanie, z uczciwością wobec samych siebie i przed Bogiem, że niektóre nasze reakcje i postawy nie zawsze były wyrazem tego, czego oczekuje od nas nasz Instytut, a mianowicie bycia „ludźmi ze wszech miar pokornymi i roztroptymi w Chrystusie” (Dekret 1, nr 14).

Odpowiedzią na skierowane do jezuitów słowa Benedykta XVI jest również Dekret 4 o posłuszeństwie. Znajdują się w nim mocne sformułowania: „W imię całego Towarzystwa, 35KG prosi o Boże przebaczenie za wszystkie te sytuacje, w których członkom Towarzystwa brakowało miłości, taktu, czy też wierności w służbie

Kościółowi. Jednocześnie Kongregacja potwierdza zaangażowanie Towarzystwa, by nieustannie wzrastać w miłości do Kościoła i dyspozycyjności wobec papieża” (Dekret 4, nr 34). A zaraz potem czytamy: „Kongregacja zachęca wszystkich jezuitów do umocnienia przywiązania i miłości do papieża oraz szacunku wobec pasterzy Kościoła i do naprawy wszelkich błędów, jakie w tym względzie mogły się pojawić” (Dekret 4, nr 41).

Tego rodzaju pokorne wezwania nie były jakąś kurtuazją, czy też przebiegłą dyplomacją, ale wypłynęły z przyjęcia na nowo źródeł jezuickiego charyzmatu, w tym z przytaczanego wielokrotnie przez Kongregację i Papieża zdania z Formuły Instytutu definiującego cel Towarzystwa Jezusowego: „walczyć dla Boga pod sztandarem krzyża i służyć samemu Panu oraz Jego Oblubienicy, Kościołowi, pod kierownictwem Biskupa Rzymskiego, Namiestnika Chrystusowego na ziemi”. Niektórzy jezuici stwierdzali nawet, że ostatnia Kongregacja przejdzie do historii jako Kongregacja pojednania jezuitów z Kościołem hierarchicznym.

Prawdopodobnie jest to zbyt patetyczne sformułowanie, ale trzeba zauważyć, że nowy o. Generał Adolfo Nicolás w jednym z wywiadów dla Radia Watykańskiego, na pytanie, z czego Kongregacja 35 będzie szczególnie zapamiętana, odpowiedział: „Sądzę, że ważnym aspektem tej Kongregacji było pogodne odzyskanie głębokiej relacji z Ojcem św. i z Kościołem, można by powiedzieć – z centrum Kościoła”. Jednocześnie jezuici podkreślali to, co w wywiadzie dla „Przeglądu Pow-

szechnego” o. Generał ujął następująco: „Nie myślę, by lojalność wobec Kościoła czy hierarchii, albo współpraca czy nawet emocjonalne przywiązanie w naszej relacji do papieża, kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób uniemożliwiały Towarzystwu bycie twórczym, odważnym, dynamicznym i myślącym”⁶. Nie brak komentatorów, którzy ukazywali napięcia pomiędzy jezuitami a Kościołem hierarchicznym jako jedynie coś gorszego. Zapominali, że życie, w tym życie kościelne, to w pewnym sensie sztuka przeżywania napięć. Są napięcia niepotrzebne, których nie należy wywoływać, ale są też takie, które stanowią czynnik wzrostu i pogłębienia. I tchórzostwem byłoby od nich uciekać. O jednym z takich napięć wspomina List św. Pawła do Galatów. „Gdy Kefas przybył do Antiochii, otwarcie mu się sprzeciwiłem, bo na to zasłużył” (2,11) – pisze Paweł Apostoł zarzucając Piotrowi nieszczerze postępowanie w sprawie wówczas bardzo ważnej, a mianowicie zachowywania zwyczajów żydowskich przez chrześcijan.

W Kościele jest, musi być, twórcze napięcie pomiędzy starym i nowym, pomiędzy zachowaniem tożsamości i wiernością korzeniom a odczytywaniem znaków czasu i poszukiwaniem nowych dróg życia Ewangelii. W tym twórczym napięciu wielka rola przypada ośrodkom teologicznym, które winny pamiętać o słowach Jezusa: „Jeszcze wiele mam wam do

6 *Nie jestem czarnym papieżem*, w: *Przegląd Powszechny* 5 (2008), s. 51.

powiedzenia, ale teraz jeszcze znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy” (J 16,12-13).



św. Ignacy Loyola

o. Marek Sokołowski S.J.

Drodzy Chromińscy.

Gdy przeglądam „ROCZNIKI” Stowarzyszenia Rodu Chromińskich zauważam, że w większości zawarta w nich treść dotyczy historii rodzin, a w szczególności ich tragicznych przeżyć. Nie dziwi to mnie, bowiem mam świadomość, że te straszne czasy wojen (1914-1920 i 1939-1945) wycisnęły piętno na psychice naszych rodziców i naszych dziadków.

Współczesne pokolenie nie zna tamtych tragicznych czasów, lecz aby docenić pokój, powinno ono poznać historię własnego kraju i przeżycia swoich przodków z minionych lat, a także te aktualne. Najlepiej jest, gdy się te opowiadania słyszy od żyjącego jeszcze starszego pokolenia, a mianowicie od swoich rodziców, dziadków i pradziadków.

W książce „Historia Rodu Orze(y)łowskich 1750-2001” zawarłem wiele opowieści, które usłyszałem od seniorów rodowych. Niestety, ta rodowa historia nie jest kompletna. Gdybym dzisiaj pisał tę Księgę Rodową, zamieściłbym w niej wiele innych informacji, które opowiedzieli mi starsi kuzyni już po wydaniu Księgi.

Odpowiadając na prośbę Sławka, przygotowałem tym razem do „Rocznika” artykuł, który nosi nazwę: - Uzupełnienie noty o Rodzinie Emiliana C-432 Orzyłowskiego (zwanego Emilem), zamieszczonej w książce „Historia Rodu Orze(y)łowskich 1750-2001”. Tej informacji nie ma w Księdze Rodowej, bowiem tę historię zasłyszałem już po jej wydaniu, a opowiedział mi ją - **Marek C-4351 Wolek**, który z Emilem Orzyłowskim jest skoligacony tak, że poślubił on córkę jego siostry -

Ewę C-4351 Borkowską. Jest jeszcze jedno ważne powiązanie rodzinne, a mianowicie: Marka Wołka matka (Janina) i żona Emila (Anastazja), to rodzone siostry. Marek z tą rodziną żył w bliskości i bardzo interesował się wszelkie historie z nią związane. Teść Emila – Franciszek Kenig, to dziadek Marka Wołka (ojciec jego matki), a więc od niego najwięcej nasłuchiwał się opowieści rodzinnych. Pokolenie Emila odeszło w zaświaty, a nośnikiem niedopowiedzianej historii, jest właśnie Marek Wołek.

Zapraszam więc czytelników na wędrówkę po historii Orzełowskich, która zaplata się z historią opowiadaną przez Sławka Chromińskiego, gdyż dotyczy ona także Wschodnich Kresów Rzeczypospolitej.

Teść Emila C-432 Orzyłowskiego - Franciszek Kenig (1884 - 1956), był synem kolonistów niemieckich. Jego rodzice trafili na Wołyń (Wschodnie Kresy Rzeczypospolitej) w pobliżu miasta Kowel, jako koloniści niemieccy około połowy XIX wieku, gdy Polska przeżywała okres rozbiorów (1795-1918). Na pewno mieli więcej dzieci, nie tylko syna Franciszka, bowiem ten opowiadał swoim wnukom, że miał brata. Franciszek Kenig został posłany do szkoły technicznej i szkolił się na ślusarza kolejowego. Pierwszą pracę zawodową podjął w służbie rosyjskiej kolei państwowej. W 1907 roku poślubił Konstancję Kraszewską, której rodzice (Kamil i Małgorzata) pochodzili ze zubożałej szlachty. Kraszewscy utrzymywali się z dzierżawy majątków ziemskich i handlu bydłem. Dzierżawili także majątki rosyjskich generałów, których car obdarował majątkami Polaków - zesłanych na Syberię, za udział w Powstaniu Styczniowym.

W domu rodziców Konstancji Kraszewskiej było dwanaścioro dzieci, z czego wychowało się dziesięcioro (między innymi: Maria, Jan, Stanisław, Karol, Bronisław, Gustaw, Józef, Adolf, Konstancja). Troje z nich (Adolf, Józef i Konstancja) wyjechało w latach 1906 - 07 za chlebem do USA (statkiem z Hamburga, Rosja nie stwarzała wówczas przeszkód w emigracji).

Po ślubie, Franciszek Kenig rozpoczął działalność w PPS (Polska Partia Socjalistyczna) u boku Józefa Piłsudskiego. Wkrótce podpadł zarządzającej koleją władzy carskiej, lecz nie na tyle, by musieli go zesłać na Sybir, ale za karę został wcielony w 1909 roku do armii carskiej. Niedługo po tym (w 1910 roku) urodziła mu się córka - Janina, ale Franciszek jej nie zobaczył, bowiem już w tym czasie przebywał w garnizonie – twierdzy, w mieście Kuszka, na granicy Rosji z Afganistanem. Do garnizonu eskortowany był przez żołnierzy carskich. Do Samarkandy dojechali pociągiem, dalej szli pieszo. W tym czasie teren południowych ziem Rosji wizytował car Mikołaj II. Kiedy przejeżdżał pociąg z carem, nie wolno było się tam pokazywać, a że Franciszek był ciekawy i wyrzwał z pociągu, posłano za nim kule.

Nie w smak była Franciszkowi perspektywa długiej służby w carskiej armii, więc na przełomie 1910/1911 postanowił zdezerterować z niej. Od razu zaplanował ucieczkę - na wschód, wzdłuż kolei transsyberyjskiej. Jego dotychczasowa praca na kolei pomogła mu w dogadywaniu się z kolejarzami, tuż po ucieczce z twierdzy. Przy ich pomocy dostał się do miasta Harbin⁷, ówczesnej kolonii Polaków na

7 Historia miasta Harbin zaczyna się w 1898 roku, kiedy na miejscu wsi powstała osada, pomyślana jako stacja Kolei

wschodzie Chin. Dodać trzeba, że na początku XX wieku Polacy masowo osiedlali się tam, korzystając z materialnej zachęty Rosjan, którzy w tym czasie budowali kolej transsyberyjską.

Franciszek, jako uciekinier z armii carskiej, zyskał sympatię osiedlonych tam Polaków (ale nie tylko Polaków) i przy ich pomocy mógł kontynuować ucieczkę. Znał on perfekcyjnie język niemiecki, rosyjski i polski. W armii carskiej Polacy doznawali wielu upokorzeń, za jakąkolwiek niesubordynację, stawiano ich na kilka godzin w słońcu. Mając to ciągle na uwadze, Franciszek z determinacją parł na wschód. Przy pomocy krajanów, dostał się na statek amerykański

Wschodniocchińskiej. W 1896 roku carska Rosja wykorzystała słabość Chin i narzuciła im traktat umożliwiający budowę linii (przez terytorium chińskie) łączącej najkrótszą drogą Syberię z Władywostokiem, z odnogą biegnącą do bazy marynarki w mieście Dalnyj i (chińskiego) Portu-Artur (dzisiaj - Lushun). W budowie tej linii kolejowej wzięło udział wielu Polaków, w tym inż. Adam Szydłowski, Polak i założyciel rosyjskiego Harbinu.

Po wojnie rosyjsko-japońskiej (1904–05) pozycja Rosji w regionie osłabła, a Harbin cieszył się statusem miasta handlowego. Mieszkali w nim przedstawiciele 33 narodowości, działały konsulaty sześciu państw. Szybki rozwój miasta w tym okresie sprawia, że niektórzy nazywają go "mandżurskim Hongkongiem".

Na skutek rewolucji bolszewickiej do Harbinu napłynęła fala uchodźców i miasto przeistoczyło się w największą poza Rosją enklawę Białych (Biała Armia – zbiorcze określenie ruchów politycznych i sił zbrojnych działających podczas wojny domowej w Rosji w latach 1917-1923). W tym czasie istniała w mieście także duża społeczność żydowska, złożona z Żydów rosyjskich i niemieckich, którzy uciekli na Daleki Wschód przed prześladowaniami w Europie.

w dalekowschodnim porcie rosyjskim i zatrudniony został w charakterze pomocnika w maszynowni.

Po wielomiesięcznym rejsie, okrężną drogą dopłynął do Nowego Jorku. Tam odnalazł troje rodzeństwa swojej żony i przy ich pomocy osiadł w Chicago. Zatrudnił się w fabryce narzędzi rolniczych - McCormick. Wykazując się dużą wiedzą i fachowością, opracował projekt racjonalizatorski, za co otrzymał gratyfikację finansową i połączony zegarek marki Elgin. Można powiedzieć, że natychmiast przystąpił do działań, aby sprowadzić do USA swoją żonę i córkę, pozostawione na Wołyniu. Działania jego przyniosły w niedługim czasie efekt i Konstancja z córką Janiną otrzymały z USA tzw. szyfkartę, czyli bilet na przejazd statkiem oceanicznym dla emigrantów do Ameryki. Z Wołynia musiały jakoś dostać się do Hamburga i dopiero stamtąd statkiem do USA. W czasie morskiej podróży mocno chorowała córka Janina i tylko dzięki pomocy bezimiennego obywatela szwedzkiego, który ofiarował jej lekarstwo, uratowała się. Na statku, którym płynęły, panowały trudne warunki, bo statek przystosowany był tylko do masowego przewozu emigrantów.

Spotkanie Franciszka Keniga z żoną Konstancją w Chicago, zaowocowało narodzeniem drugiej córki – Anastazji. Chrzczono ją w kościele anglikańskim, a ojcem chrzestnym był brat matki – Adolf. Imię jej wybrano przypadkowo, nie tak jak chciała babcia Konstancja. Po przystąpieniu USA do wojny w 1914 roku, było olbrzymie zapotrzebowanie na szwaczki umiejące szyć mundury, więc Konstancja wkrótce została zatrudniona w fabryce odzieżowej. Dobrze im płacono, toteż Konstancja niebawem za swoje oszczędności kupiła

kamienicę. Kenigowie swoje córki posłali na edukację do amerykańskich szkół, gdzie doskonale przyswoiły sobie język angielski, ale dzięki rodzicom, równie dobrze posługiwały się językiem polskim.

Gdy w 1918 roku „wybuchła” Polska, w Rosji na dobre trwała rewolucja bolszewicka. Kenigowie doskonale byli zorientowani o trudnej sytuacji w Polsce i wojnie polsko - sowieckiej w 1920 roku, więc to skutecznie powstrzymywało ich od powrotu do ojczyzny. Dopiero po 1925 roku (po reformie Grabskiego) Konstancja zdecydowała, że powinni emigrować do Polski. Najpierw (rok przed Konstancją) przyjechał do Polski jej mąż Franek (tak go nazywano) z pieniędzmi i zakupił około 50 ha ziemi koło Kowla, od hrabiego Renikera. Na tym gospodarstwie zdecydowali się wybudować młyn parowy.

Motorem wszystkich przedsięwzięć handlo-wo - biznesowych była Konstancja, więc zaraz po jej przyjeździe do Kowla, przystąpili do budowy sześciu drewnianych parterowych domów. Od frontu były sklepy, z tyłu zaś mieszkania z werandą. W kilku pokojach mieszkała rodzina Kraszewskich i Kenigów, w pozostałych zaś mieszkali lokatorzy. Troje rodzeństwa Konstancji na stałe zostało w Chicago.

Córki Konstancji i Franciszka Kenigów - Janina i Anastazja, uzupełniały swoje wykształcenie na pensji dla panien w Krasnymstawie. Na wakacje dziewczynki jeździły do hrabiostwa Plater, gdzie uczyły się przede wszystkim dobrych manier. 26 grudnia 1935 roku starsza córka Kenigów – Janina, wyszła za mąż za Józefa Wołka (rocznik 1909), który był pracownikiem Urzędu Skarbowego w Kowlu. Kończył on gimnazjum w Żółkwi, prowadzone przez zakonników, a potem

zaliczył także rok studiów prawniczych we Lwowie, lecz skuszony dobrą posadą, studia porzucił.

Emil C-432 Orzyłowski (syn Macieja), rodem z Wielgorza na Podlasiu, znalazł się w Kowlu na zaproszenie swego stryja – Konstantego C-49a Orzyłowskiego⁸, rodem z Radzikowa Oczek i przy jego

8 Z uwagi na barwny życiorys, przytaczam wycinek z jego noty biograficznej zawartej w „Historii Rodu Orze(y)łowskich 1750-2001”.

Konstanty C-49a Orzełowski (*tak zapisane ma nazwisko w akcie urodzenia*) **syn Szczepana**. Gdy się urodził, jego ojciec miał 45 lat. Od młodości swoją żywotnością sprawiał rodzicom kłopot. Starsze od niego rodzeństwo, to cztery siostry i brat (poprzedzający je), więc rodzice zdążyli się już odzwyczaić od piastowania chłopaka (między synami było 11 lat różnicy). Dziewczęta z samej natury spokojniejsze i posiadające wrodzoną estetykę uskarżały się na Kostka, że rozrabia, wpada do domu jak burza pozostawiając po sobie taki nieład, jakby huragan przez mieszkanie przeszedł. Gdy Kostek osiągnął młodzieńczy wiek jego psoty przybrały poważniejszy charakter, z których nie on, tylko rodzice mieli kłopoty. Jedną z jego słabości było to, że wcześniej zaczął interesować się bronią palną. Od jego córki – Krystyny (a mojej cioci) wiem, że pewnego dnia schował on myśliwską dubeltówkę pod kierat. Odkryli ją tam Kozacy. Wiadomym wszystkim było, że za przechowywanie broni palnej można było znaleźć się na zesłanie w dalekiej Syberii. Sporo rubli kosztował ojca ten wybryk Konstantego. Za to w szkole Kostek sprawował się nienagannie. Uczył się bardzo dobrze, skończył gimnazjum i próbował dalszej edukacji, ale wcielono go do rosyjskiego carskiego wojska. Mając w sobie ogromną łatwość w przyswajaniu obcego języka, rosyjski język znał na wylot. Często mówił, że język sąsiadów i wrogów należy znać. Potomni wspominali go, że mówił po rosyjsku z taką lekkością jak „kacap”. Z tego to powodu miał Konstanty wśród Rosjan wielu przyjaciół, doskonale poznał ich mentalność i obyczaje. W czasie służby, znalazł się on z wojskiem na dalekim wschodzie. Stacjonował we Władywostoku,

pomocy został zatrudniony w tamtejszych zakładach rzeźniczych, jako młody dyplomowany lekarz

poznał Mandżurkę, a przy okazji także Japończyków. Z wojska powrócił nieco wcześniej niż powinien, bowiem zrobił mu się bolesny „zastrzał” u ręki w prawym kciuku i tym sposobem przed terminem znalazł się w domu rodzinnym. Umiął też Konstanty wspaniale władać piórem, tak po polsku jak i po rosyjsku. Spod jego pióra wychodziły piękne listy, nawet jego koledzy często z tego korzystali. Według słów córki - Krystyny, ojciec jej miał w sobie ogromny potencjał patriotyzmu. Miał wprost „bzika” na tle polskości.

Gdy w 1918 roku przyszła niepodległość dla Polski, Konstanty od razu oddał swoją osobę i wiedzę do dyspozycji polskiego rządu. Przydzielono go do służb specjalnych w policji. Najpierw mieszkał w Szepietówce nad ruską granicą, a później w Kowlu. Był człowiekiem najwyższego zaufania u wojewody, uczestniczył we wszystkich sprawach politycznych i sporach granicznych. Wyjeżdżał często w delegacje do Wilna i Lwowa, załatwiając sprawy najwyższej rangi. Był to człowiek ogromnie ruchliwy i miał wiele pasji pozazawodowych. Jedną z nich było myślistwo, a był zawałanym myśliwym. Godzinami wędrował po lasach i oczeretach nie tylko aby polować, ale z umiłowania przyrody. Zawsze powtarzał, że świat jest piękny i trzeba go poznawać. Od właścicieli ziemskich dzierżawił szmat terytorium, jako teren polowań. Może za jego przykładem lub namową, młodszy brat Stanisław także postanowił zostać oficerem Wojska Polskiego. Ożenił się Konstanty z Genowefą Nowosielską, która już w 10 roku życia została pełną sierotą, a kuratelę nad nią sprawowało rodzeństwo. Pochodziła z Mordów na Podlasiu, a zapoznał ją poprzez jej stryja. Genowefa ukończyła w Warszawie szkołę freblanek - tak nazywano kiedyś przedszkolanki. Później wróciła do Mordów, aby pomóc swej siostrze w piastowaniu dzieci. Tu poznał ją Konstanty i od pierwszych dni traktował jako przyszłą żonę. Ślub ich odbył się w 1920 roku. Mieli tylko jedno dziecko – córkę Krystynę. Z uwagi na profesję Konstantego, ciągle zmieniali miejsce zamieszkania, ale zawsze przy wschodniej granicy kraju...

weterynarii. W miejscowej resursie (klubie dla urzędników państwowych), Emil poznał się z Józefem Wołkiem. Ten zaś poznał go ze swoją szwagierką, siostrą żony – Anastazją, którą na co dzień zwano - Neta. Ich ślub odbył się w czerwcu 1939 roku, a za miesiąc obydwaj szwagrowie zostali zmobilizowani do wojska, bowiem w powietrzu wisiała groźba wojny polsko niemieckiej. Wybuchła ona o świcie 1 września 1939 roku, a już pod koniec tego miesiąca dywizja, w której służył Józef Wołek, została rozbita w Borach Tucholskich, a żołnierze poszli w tułaczkę. Wkrótce rozbitkowie pozbierali się i postanowili sforsować Wisłę, ale wielu z nich dostało się do niewoli niemieckiej, a wśród nich - Józef Wołek. Wraz z innymi polskimi jeńcami wojennymi osadzony został w oflagu na terenie wschodnich Niemiec, gdzie szczęśliwie doczekał końca wojny. Gdy zbliżał się front radziecki w 1945 roku, Niemcy wyprowadzili polskich jeńców wojennych i gnali ich na zachód do centrum Niemiec. Po drodze zostali wyzwoleni przez Anglików.

Emil także dostał się do niewoli niemieckiej, ale po wykazaniu się, że jest lekarzem weterynarii, został zatrudniony, a później uciekł (przy życzliwej pomocy niemieckiego oficera) na teren, z którego się wywodził (okolice Siedlec). Gdy znalazł się w Siedlcach (październik 1939), natychmiast poczynił starania, by ściągnąć z Kowla swoją żonę wraz z jej rodziną. Granica między zaborcami (Niemcy – ZSRR) była już ustalona na rzece Bug. Emilowi udało się wyszukać sprytnego posłańca, który za opłatą udał się do Kowla, aby przeprowadzić ich przez „zieloną granicę” do rodzinnego Wielgorza.

Posłaniec zobowiązał się do załatwienia bardzo ryzykownej sprawy. Wiedział, że grozi mu kula lub Sybir. W listopadzie 1939 roku Emilowy posłaniec stanął w Kowlu przed Franciszkiem i Konstancją Kenig, legitymując się listem polecającym od Emila, który wzywał ich do Wielgorza. Rodzice Nety, a szczególnie matka, nie zaufali mu, ale Neta sama zdecydowała iść z posłańcem do męża. Od ojca uzyskała aprobatę, matka zaś była przeciwna. Gdy Neta z posłańcem opuściła dom w Kowlu, Konstancja nie dawała mężowi spokoju rugając go, że tak łatwo zgodził się posłać córkę w nieznane.

Minął miesiąc, a od Nety nie było żadnej wiadomości. Franek naciskany przez żonę wyruszył pieszo do Generalnej Guberni. W którym miejscu sforsował granice na Bugu, nie wiadomo, ale szczęśliwie przedarł się przez nią. W wigilię Bożego Narodzenia 1939 roku, gdy w rodzinnym domu w Wielgorzu mieli zasiąść do stołu, nagle drzwi się otworzyły, a w nich ukazał się oszroniony, zmęczony za chłopa przebrany w kozuchu i czapce baranicy - Franek Kenig. Zima w tamtym roku była tęga, więc i jego wyczyn nie lada. Radości było wiele, a największą odczuł Kenig, gdy ujrzał córkę Netę z mężem.

Spełniwszy swoją misję, tą samą drogą powrócił Franek do Kowla. Nie są dokładnie znane przeżycia Franka Keniga w drodze z Kowla do Wielgorza i z powrotem. Gdy powrócił do Kowla, ich życie toczyło się pod okupacją rosyjską. Jak wiemy Franek mieszkał tam z żoną Konstancją oraz z córką Janiną Wolek i jej synem Markiem.

Jak się wkrótce okazało, miejscowi Żydzi donieśli Rosjanom, że Kenigowie to potomkowie Niemców. Ten

donos spowodowany był między innymi tym, że ich zięć Józef Wołek był podporucznikiem Wojska Polskiego (w rezerwie), a także zbyt służbowo kontrolował firmy żydowskie z ramienia Izby Skarbowej, za co był powszechnie nielubiany. Takim sposobem zostali oni wpisani na listę do wywózki na Sybir i powiadomieni o tym przez administrację. Był to czerwiec 1941 roku. Gdy oczekiwali na wywózkę, nagle nastąpił atak Niemców na ZSRR (22.06.1941r). Bydlęcymi wagonami, którymi mieli być wywiezieni, Rosjanie sami uciekali z tych terenów. Nie trzeba było długo czekać, kiedy Niemcy dopatrzyli się niemieckiego pochodzenia Kenigów i dali wyraźną propozycję Frankowi, aby podpisał folkslistę⁹. Franek jakoś zręcznie się z tego wymigał i odmówił, bo czuł się Polakiem. Udało mu się także uniknąć represji, jakie mogły go z tego powodu spotkać.

Jego córka Janina z racji doskonałego władania językiem niemieckim, została zatrudniona w firmie zaopatrującej miejscowych folksdojczów w różne towary. Testowano ją ze znajomości języka niemieckiego i test wypadł

9 **Volkslista** (niem. *Deutsche Volksliste DVL*, pol. **folkslista**) – niemiecka lista narodowościowa wprowadzona 2 września 1940 na podstawie reskryptu Heinricha Himmlera jako komisarza Rzeszy do spraw wzmocnienia niemieczyny. Na terenach Rzeczypospolitej Polskiej anektowanych przez III Rzeszę w czasie II wojny światowej folkslistę wprowadzono zarządzeniem z 4 marca 1941. *podpisanie folkslisty* wiązało się z wypełnieniem szczegółowej ankiety, która zawierała pytania o przynależność wyznaniową, od kiedy rodzina mieszkała w danym rejonie, jakie kończono szkoły, o krewnych w Niemczech itd. Ankieta była wysyłana do domu. Po jej odebraniu, decyzją urzędnika przydzielano ankietowane osoby do jednej z czterech grup folkslisty.

nadspodziewanie dobrze, dlatego to uzyskała zatrudnienie. Janina była sprytną kobietą, miała w sobie wrodzoną żyłkę handlowca, w końcu podpadła Niemcom i trafiła do obozu. Takie były tamte czasy. Pewien Ukraińiec zawiadomił Kenigów, że niemiecki obóz został zlikwidowany, a część jeńców dostała się do więzienia, w tym ich córka Janina. W lecie 1943 roku udało się rodzinie Kenigów wykupić córkę Janinę z rąk Niemców. Brat Konstancji – Gustaw, był kurierem (w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty¹⁰) AK między Wołyniem, a Generalną Gubernią, zaś syn Gustawa – Marian Kraszewski, był żołnierzem Leśnej Dywizji Wołyńskiej AK. Gustaw był utajniony, jego córka - Irena Kraszewska (łączniczka), także była utajniona. W tym czasie, Ukraińcy omamieni przez Niemców bajkami o samoistnej Ukrainie, wpadli w szaleństwo nacjonalizmu. Od jesieni 1943 roku trwały na Wołyniu mordy Ukraińców na Polakach (fot. nr 7). Franek spał z siekierą pod poduszką.

W lutym 1944 roku, wschodni front zbliżył się do Kowla. Kenigowie zdecydowali się na ucieczkę do Generalnej Guberni. Konstancja miała większe zaufanie

10 W reakcji na rzeź wołyńską dowództwo Armii Krajowej podjęło decyzję o skierowaniu sił konspiracyjnych do walki z Ukraińską Powstańczą Armią. 20 lipca 1943 roku Komendant Okręgu Wołyńskiego AK wydał rozkaz powołania oddziałów partyzanckich, których celem miała być ochrona ludności polskiej przed UPA. Powstało 9 oddziałów: „Bomby”, „Drzazgi”, „Gzymsa”, „Jastrzębia”, „Korda”, „Piotrusia”, „Ryszarda”, „Sokoła” i „Strzemienia” liczących łącznie około 1200 żołnierzy. Drugą polską siłą bojową na Wołyniu stanowiły oddziały samoobrony w liczbie około 3600 ludzi stacjonujące w około stu placówkach. Żołnierze tych formacji stali się trzonem 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

do Niemców i uznała, że grozi jej od nich tylko śmierć, zaś od Rosjan - śmierć i poprzedzające ją długie lata zsyłki. Co tylko dało się ukryć, skryli w różnych schowkach i uciekli z Kowla. Od marca do lipca 1944 roku rodzina Kenigów tułała się po okolicznych wioskach. Po przewaleniu się frontu, próbowali powrócić do Kowla, ale dom zastali spalony. Zapada decyzja, że będą uciekać w kierunku zachodnim, bo jeśli dopatrzą się Rosjanie i odnajdą ich na listach do wywózki (a tak było), niechybnie wywiozą ich na Sybir.

Franek Kenig sklecił jakiś wózek, zapakowali tobołki i ruszyli. Gdy uszli kawałek drogi, pomyśleli, że prawdopodobnie nigdy już tu nie wrócą, więc zdecydowali się powrócić nocą na zgłiszcza, po swoje skarby. Wydobyli z nich schowane przedtem jakieś złote i srebrne monety (teraz stopione w kulę wskutek pożaru) i jakieś ocalałe futro (przedtem zakopane w ziemi), srebrne sztucce i ciągnąc za sobą wózek, powlekli się za frontem na zachód. Cudem przeprawili się przez rzekę Bug i docelowo trafili do Chełma Lubelskiego. Tam spotkali braci Konstancji – Gustawa i Bronisława Kraszewskich, którzy byli maszynistami na Kolei Żelaznej w czasie okupacji niemieckiej. W tym czasie Marian Kraszewski syn Gustawa wraz z innymi żołnierzami AK, był rozbrajany i wcielany do Armii Polskiej.

Teraz Frankowi Kenigowi i jego rodzinie czas się dłużył w oczekiwaniu na transport kolejowy z Chełma do Siedlec. Pierwszy transport odjechał około 15 sierpnia 1944 roku, a wraz z nim Kenigowie. W bydlęcych wagonach, w niesamowitym upale i smrodzie dojechali wreszcie do Siedlec. Franek zostawił rodzinę na dworcu, a sam poszedł na rynek, bo był to dzień targowy

i rozpytywał chłopów o swego zięcia, lekarza weterynarii – Emila Orzyłowskiego. Wtedy to podszedł do niego jakiś mężczyzna i powiedział, że jedzie akurat tam, gdzie Emil mieszka. Franek zapakował się z rodziną na jego furmankę i tak dojechali do Wielgorza, gdzie zakończyła się ich kilkumiesięczna tułaczka.

Marek C-4351 Wołek (syn Janiny z Kraszewskich-Wołek), który opowiedział mi tę historię, jako dziecko zapamiętał, że gdy jechał furą wraz matką i dziadkami z Siedlec do Wielgorza, to przez cały czas piasek obsypywał się z obręczy kół tego chłopskiego wozu, zwanego żelaźniakiem.

Po przyjeździe, Emil Orzyłowski zaopiekował się nimi. Zamieszkali w domu jakiegoś gospodarza w Wielgorzu, u którego dotychczas Emil wraz z żoną wynajmował mieszkanie. Wtedy to przeniósł się on do domu swoich rodziców, czyli do Macieja i Jadwigi Orzyłowskich.

W 1944 roku Marek Wołek rozpoczął naukę w szkole podstawowej w sąsiedniej wsi – Krzymosze. Jeszcze w tym samym roku jesienią Emil Orzyłowski zakupił mieszkanie w Siedlcach przy ulicy Pułaskiego. W ścianie tego mieszkania, od strony gimnazjum im. B. Prusa, była dziura wybita pociskiem artyleryjskim. Późną jesienią, do tego pomieszczenia mieszkalnego Emil zabrał rodziców swojej żony i jej siostrę Janinę Wołek z synem Markiem. W tym okresie Marek kontynuował naukę w szkole podstawowej usytuowanej przy ulicy Świętojańskiej (na piętrze). Na początku 1945 roku, Emil zatrudnił swoją szwagierkę - Janinę Wołek, przy szczepieniu zwierząt w terenie.

Po wakacjach 1945 roku Marek Wołek został przeniesiony do szkoły podstawowej na ulicę Kilińskiego - tzw. ćwiczeniówki (z tyłu za ciastkarnią Fałdowskiego – później była tam Kawiarnia „Kolorowa”). Uczył się tam do stycznia 1946 roku. W tym czasie pojawiła się w ich domu pewna kobieta, która jeździła po Polsce i szukała żon oficerów Wojska Polskiego, będących w oflagu niemieckim na terenie Niemiec. Ta kobieta zebrawszy grupę wspomnianych żon oficerów, przemyciła je poprzez Kostrzyn (miasto nad Odrą), przekupując żołnierzy radzieckich i dowiozła do Berlina. Cała grupa liczyła 15 osób, wśród nich była Janina Wołek z synem Markiem. Matka Marka z racji dobrej znajomości języka niemieckiego, zaczęła pośredniczyć w rozmowach urzędowych, synowi zaś nakazała milczenie, aby nie wydało się, że są Polakami.

Z Berlina przyjechali do Magdeburga i zaraz nocą zostali przemyceni przez umówioną osobę ze strefy rosyjskiej do strefy brytyjskiej. Jednak na granicy, tuż po odejściu osoby, która ich przeprowadzała, wpadli w ręce patrolu rosyjskiego. Tylko Janina Wołek знаła język rosyjski, więc podjęła pertraktacje z żołnierzami mówiąc, że uciekają ze strefy brytyjskiej. Janina próbowała nawet dać swój złoty zegarek żołnierzowi, ale czerwonoarmiści byli nieubłagani i wypchali ich z powrotem do strefy angielskiej. Zegarek przepadł, ale fortel się udał. Wkrótce przejęli ich żołnierze brytyjscy i korowód zaczął się od początku, tyle, że już w języku angielskim, który Janina znała doskonale, więc wyłuszczyła wszystko. Po skrupulatnych sprawdzeniach uzyskali zezwolenie na połączenie się z mężami i zamieszkali razem z nimi w obozie Adelhorst w okolicy Gettingen, w ponemieckich koszarach. Każda rodzina miała swój pokój, zaś łazienka

była wspólna. Tak było w okresie wiosny, zaś na okres letni przenieśli ich do miejscowości Delmenhorst, w pobliżu lotniska. Teraz wszyscy czekali na decyzję władz brytyjskich, które miały zdecydować, gdzie ich rozesłać: do Południowej Afryki, Kanady, Indii, Rodezji - ówczesnych brytyjskich kolonii.

Tak upływał czas, a Marek Wołek chodził do szkoły podstawowej (dla Polaków), zapisano go także do harcerstwa (fot. nr 8). Na jesieni tego roku znów całym obozem zostali przeniesieni do Gettingen, gdzie upłynął im cały rok. Brytyjczycy wzięli ich na swój wikt, oraz ubrali w mundury. Dodać trzeba, że dobrze ich karmiono, ale Markowi, niestety zaszwankował żołądek i trafił do kliniki, gdzie mieli go operować. W porę dostrzeżono poprawę i odstąpiono od operacji.

W międzyczasie ojciec Marka – Józef Wołek, przeniósł się do miejscowości Mannheim, do strefy amerykańskiej, gdzie zatrudnił się w kompanii wartowniczej. Tam ściągnął swoją rodzinę (fot. nr 9), a jego żona Janina w tym samym czasie poczyniła starania o odzyskanie obywatelstwa USA. Udało się jej to tylko dzięki pomocy ciotek (sióstr matki), które nadal w USA mieszkały. Jednak Józef Wołek nie zgodził się na stały wyjazd do USA, bowiem uznał, że nie znając języka angielskiego będzie tam musiał pracować, jako zwykły robotnik. Nawiązał wtedy kontakty z komitetem repatriacyjnym, werbującym żołnierzy do powrotu do Polski. Gdy Amerykanie się o tym dowiedzieli, wyrzucili Józefa z kompanii wartowniczej. Żona Józefa – Janina, bojąc się Rosjan nie chciała wracać do Polski, zaś Józef nie znając przeżyć swojej żony w czasie wojny, nie miał takich oporów.

W końcu maja 1947 roku, załadowali się jednak na statek w Lubece i przyjechali do Polski. Wyszczepili ich na brzeg koło Ustki we wsi Kamieniec (obecnie Wodnica), gdzie Franciszek Kenig z żoną Konstancją otrzymali nadział ziemi, jako rekompensatę za utracone mienie w Kowlu. Było to około 17 hektarów z inwentarzem. W momencie przejścia gospodarstwa, mieszkali tam jeszcze dotychczasowi niemieccy gospodarze o nazwisku Krauze. Była tam bieżąca woda, kanalizacja i pełen zestaw sprzętu rolniczego na dość wysokim poziomie. Zamieszkali tam razem z nimi - Józef i Janina Wołkowie z synem Markiem, gdzie spędzili dwa lata 1947/1948. Na wakacje Marek przyjeżdżał do Siedlec, do wujostwa Anastazji i Emila Orzyłowskich.

Stanisław C-1645 Orzełowski

Zakon Maltański **jako przykład organizacji szlacheckiej**

“Obrona wiary i pomoc ubogim” (TUITIO FIDEI ET OBSEQUIUM PAUPERUM) – to dewiza, która przyświeca Suwerennemu Rycerskiemu Zakonowi Szpitalików Świętego Jana Jerozolimskiego zwanego Rodyjskim i Maltańskim. Zakon ten powstał jako Zakon Krzyżowców w Palestynie w 1099 roku. Początków należy jednak szukać już około 50 lat wcześniej wśród kupców z Amelfii, którzy w połowie XI wieku, podczas nasilania się kontaktów kupieckich między włoskimi republikami miejskimi a Lewantem, wybudowali za zgodą miejscowego władcy muzułmańskiego hospicjum i szpital w Jerozolimie i poświęcili go św. Janowi Jąłmużnikowi. Rola szpitala wzrosła wraz z organizowaniem wypraw krzyżowych. Już wtedy utarła się nazwa szpitalnicy, a mało znanego Jana Jąłmużnika (Jana z Aleksandrii) zastąpił św. Jan Chrzciciel (stąd pochodzi nazwa – Joannici). Zakon jest tym samym jedną z najstarszych instytucji stworzonych przez cywilizację zachodniego chrześcijaństwa. Bulla Papieża Paschalisa II z 1113 roku uwolniła joannitów od wszelkiej zależności od władzy kościelnej i świeckiej, poza Papieżem. Zakon historycznie podzielony był na 8 prowincji (“języków”), a na czele każdej z nich stał przeor. Wielki Mistrz był wybierany przez starszyznę na całe życie (konieczna była jednak akceptacja Papieża). Każdy Wielki Mistrz ma zarazem prawo do tytułu księcia. Jeden z kolejnych Wielkich Mistrzów, Raymond de Puy, spisał nową Regułę Zakonu i wprowadził słynny

ośmiokończysty Krzyż, zwany później maltańskim. Został on zatwierdzony bullą papieża Sykstusa V z 9 i 31 stycznia 1589 roku. W 1879 roku Papież Leon XIII przywrócił urząd Wielkiego Mistrza wraz z jego godnością kardynalską. W Polsce Zakon został ustanowiony w 1187 roku i jest najstarszą działającą nieprzerwanie w kraju organizacją charytatywną. Działalność po okresie rozbiorów wznowił w 1920 roku; w okresie rządów komunistycznych był organizacją zakazaną i skazaną na niepamięć (został zlikwidowany w Polsce w 1949 roku). Ponowna działalność Zakonu w Polsce datuje się od początku lat 90. tych XX wieku.

1. Flagą zakonną (istniejącą co najmniej od XIV wieku) jest wielki biały łaciński krzyż rozpostarty na całą długość i szerokość na czerwonym polu. Flagą ta symbolizuje związek z Kościołem. Krzyż łaciński podczas bitew noszono na rycerskiej, szkarłatnej tunice. Drugą oznaką Zakonu, naszywaną do dziś na czarny habit zwany kullą, jest biały, ośmiokończysty krzyż (tzw. maltański lub kawalerski lub rycerski) na czerwonym polu – ten symbol ma wydźwięk ewangeliczny i nawiązuje do Kazania na Górze i ośmiu błogosławieństw. Cztery ramiona tego krzyża oznaczają cztery cnoty: wierność, honor, wstrzemięźliwość i przezorność. Biała barwa symbolizuje cnotę czystości. Oprócz ośmiu błogosławieństw (Mt 5, 3-12) znak ten nawiązuje także do ośmiu cnót rycerskich:

1. żyć w prawdzie 2. mieć wiarę 3. żałować za grzechy 4. dawać dowody pokory 5. miłować sprawiedliwość 6. być miłosiernym 7. być szczerym i wielkodusznym 8. znosić prześladowania.

Wspomniana kulla, czyli czarny habit z białym krzyżem została usankcjonowana w Zakonie dekretem papieża Aleksandra IV z 1256 roku. Obecna działalność Zakonu sprowadza się do czterech głównych kategorii aktywności:

1. organizacja i utrzymanie szpitali
2. opieka nad rannymi podczas wojen i w czasie pokoju (w czasie katastrof i klęsk żywiołowych)
3. pomoc dla uchodźców i znajdujących się w potrzebie (jadłodajnie, szkoły, obozy letnie dla dzieci, organizowanie pielgrzymek, ochrona misji katolickich)
4. działalność dyplomatyczna w służbie pojednania i poszanowania kultur i narodów.

Obecnie działalność Zakonu jest realizowana w 122 krajach świata, w tym w Polsce. Zakon skupia około 12.000 członków, podzielonych na 3 klasy; na jego czele od 1988 roku stoi 79-ty Wielki Mistrz i Ksiązę, Jego Eminencja i Jego Wysokość Frà Matthew Festing. Życie Zakonu regulują Karta Konstytucyjna i Kodeks, zreformowane ostatnio w 1997 roku. Siedzibą Zakonu jest eksterytorialny pałac w Rzymie przy Via Condotti 68. W ostatnich latach Zakon dzięki umowie z rządem Malty odzyskał na 99 lat Fort St. Angelo, (należące do Zakonu od 1530 do 1798 roku), a w którym obecnie mieści się Accademia Internazionale Melitense, instytucja zaangażowana w działalność naukową i badawczo-historyczną. Zakon jest organizacją suwerenną i podmiotem prawa międzynarodowego, jest traktowany jako suwerenne państwo, posiada własne pieniądze (zgodnie z systemem średniowiecznym jeden scudo dzieli się na 12 tari, a te na 20 grani), znaczki, dokumenty, paszporty, ustanawia instytucje prawne, etc.

Zakon utrzymuje stosunki dyplomatyczne ze 112 krajami świata, ma także reprezentantów w organizacjach europejskich i międzynarodowych. Zakon jest tradycyjnie bezstronny, apolityczny i neutralny, dzięki czemu łatwo może podejmować się skutecznych mediacji międzynarodowych. Tradycyjnie Zakon jest świeckim zakonem religijnym, organizacją szlachecką, a także zakonem rycerskim. Wzajemne kontakty z Polską są utrzymywane przez Zakon na poziomie ambasadorów. Ambasadorem Polski przy Stolicy Apostolskiej i Zakonie Maltańskim jest Hanna Suchocka, zaś ambasadorem Zakonu w Polsce p. Vincenzo Manno. Jak wspomniano, członkowie Zakonu dzielą się na trzy klasy:

Pierwsza Klasa składa się z Kawalerów Sprawiedliwości, zwanych również Profesyjnymi oraz Profesyjnych Kapelanów Konwentualnych, którzy złożyli śluby religijne.

Druga Klasa obejmuje członków w Posłuszeństwie (Obediencji), którzy złożyli Przyrzeczenie i ślub posłuszeństwa, a którzy dzielą się na trzy kategorie:

- Kawalerów/Damy Honoru i Dewocji w Posłuszeństwie
- Kawalerów/Damy Łaski i Dewocji w Posłuszeństwie
- Magistralnych Kawalerów / Damy w Posłuszeństwie.

Trzecia Klasa składa się z tych członków, którzy złożyli Przyrzeczenie służby i żyją zgodnie z normami Kościoła i którzy są gotowi powierzyć się Zakonowi i Kościołowi. Dzielą się oni na sześć kategorii:

- Kawalerów / Damy Honoru i Dewocji
- Kapelanów Konwentualnych Ad Honorem
- Kawalerów / Damy Łaski i Dewocji

- Kapelanów Magistralnych
- Kawalerów / Damy Łaski Magistralnej
- Donatów (mężczyzn i kobiet) Dewocyjnych.

Przynależność do klas szlacheckich należy udokumentować tzw. „szesnastką” (wszyscy przodkowie do prapradziadków muszą być „herbowi” albo wywodząc w linii prostej wywód przed datę I rozbioru Polski (kategoria Łaski i Dewocji) lub przed datę Unii Polsko-Litewskiej w 1569 roku (kategoria Honoru i Dewocji). W Zakonie musi zostać zachowany odpowiedni procent członków kategorii szlacheckiej – w polskim Związku wynosi on 70%. Pozostałe osoby to kapelani oraz członkowie przyjęci „z łaski” Wielkiego Mistrza, czyli Łaski Magistralnej (od Magisterium Kościoła).

Obecnie Związek Polskich Kawalerów Maltańskich liczy około 160 osób, z czego nieco ponad połowa mieszka w Polsce. Prezydentem ZPKM jest od 2012 roku Jego Ekscelencja Aleksander hr. Tarnowski, Kawaler Honoru i Dewocji. W Polsce Związek Polskich Kawalerów Maltańskich powołał do pracy w duchu Zakonu organizację o statusie fundacji i nazwie Pomoc Maltańska. Od 1993 roku działa w Poznaniu Specjalistyczna Przychodnia Onkologiczna oraz Dom Opieki w Puszczykowie, a także Warsztaty Terapii Zajęciowej (Poznań – Ławica). W Barczewie działa Szpital Maltański, na Warmii i Mazurach w kilku miejscowościach Zakon wspomaga Domy Pomocy Społecznej i placówki opiekuńcze. Ponadto w sanktuarium w Klebarku Wielkim koło Olsztyna znajdują się relikwie Krzyża Świętego, będące w kustodii Zakonu. W Krakowie od 10 lat działa nowoczesny szpital dla dzieci z niepełnosprawnością centralnego układu

nerwowego, w Katowicach prężnie działa wolontariat; ponadto w Krakowie i kilkunastu miastach Polski działają drużyny i sekcje medyczne Maltańskiej Służby Medycznej. Fundacja prowadzi także (w 5 Ośrodkach: Warszawa, Olsztyn, Poznań – dwa Ośrodki oraz Katowice) ogólnopolski program aktywizacji zawodowej osób ze znaczną niepełnosprawnością ruchową. Organizowane są koncerty dobroczynne (Warszawa, Kraków, Poznań, Toruń, Olsztyn, Radom) oraz pielgrzymki do sanktuariów polskich i do Lourdes. Członkowie Zakonu angażują się także w pomoc przy budowie studni w Afryce (www.studnia.org), pomoc Hospicjum w Wilnie (www.aniolowie.org), czy organizację co 2 lata Balów Debiutantów. Jak powiedział Błogosławiony Ojciec Gerard, historycznie uznawany za założyciela Zakonu oraz za pierwszego Wielkiego Mistrza: “Zakon nasz będzie trwał wiecznie, bo zawsze będą potrzebujący i chorzy”.

Robert Wiraszka



Nasi członkowie napisali

*Kolejny odcinek wspomnień naszego nieodżałowanego
śp. Ryszarda ze Starego Kurowa.*

Życie na „Ziemiach Odzyskanych”

Od jesieni 1948 r. i początku 1949 r. można by napisać oddzielną i obszerną książkę gdyby miało się jakieś notatki. Nie wiedzieliśmy jak i gdzie będziemy spędzać święta Bożego Narodzenia. Przeszły tak jakby ich wcale nie było. Pamiętam natomiast wigilię prawosławną, której termin wypada na nasze święta Trzech Króli, czyli 6 stycznia. Byliśmy wtedy w okolicy Birczy na zasadzce w domu chłopca. Było nas czterech żołnierzy. W izbie na podłodze leżała słoma. Na niej baraszkowały dzieciaki. My czekaliśmy na „gościa”. Przyszła piętnastoletnia dziewczyna, którą zatrzymaliśmy. Gospodarz był „gościenny”. Poczęstował nas potrawą zwaną „kutia” oraz pierogami. Ja myślałem, że te pierogi będą z kapustą, ale były z kartoflami. Po raz pierwszy w życiu jadłem takie pierogi.

Żarty się skończyły. Późnym popołudniem poderwano naszą drużynę, w której było trzech starych żołnierzy i siedmiu młodych. Pobraliśmy prowiant: chleb, konserwy i żółta zjełczała słonina. Popakowaliśmy to wszystko w plecaki. Mnie przypadła słonina. Plecaki były różne. Ja miałem plecak niemiecki, ładny, na klapie miał brązową, cielejącą skórę. Inni mieli przedwojenne plecaki, a kilku miało nawet ruskie plecaki – zielone, brezentowe worki. Mój plecak był najładniejszy, ale miał

jedną wadę. Miał obcięte skórzane pasy i miał przywiązaną grubą linkę konopną, po prostu gruby sznur.

Dowódcą został plutonowy o nazwisku Lech. Był to stary frontowiec. Mieliśmy dwa RKM-y – Diechtierowy, pięć pepesz i cztery KB. Kiedy wyszliśmy z koszar robiła się szarówka. Ulicą Słowackiego szliśmy w dół przez wiszący most na Sanie, przeznaczony tylko na pieszych. Na moście czekał na nas jakiś cywil. Zaczął nas prowadzić. Jakiś czas szliśmy główną drogą. Po paru kilometrach skręciliśmy w las. Cywil oś tłumaczył plutonowemu i się wrócił. Szliśmy dalej. Wyłoniły się zabudowania. Była to wieś Ujkowice, którą obeszliśmy bokiem. Obszczeły nas psy, pomimo, że obchodziliśmy wieś w sporej odległości. Na skraju lasu zatrzymaliśmy się. Plutonowy powiedział nam, jakie mamy zadanie. Mianowicie, na tej polanie jest dom i gospodarstwo, które prawdopodobnie jest miejscem gdzie nocą przychodzą bandziory (czyli melina). Mamy zrobić zasadzkę i kiedy w nocy będą chcieli wejść z lasu, to zlikwidować” lub ująć.

Jeszcze przed przysięgą kiedy przechodziliśmy szkolenie przerabialiśmy temat „zasadzka”. Mówiono nam, że na zasadzce nie pyta się, kto idzie tylko się strzela. Takie to były czasy. Byliśmy na skraju lasu a do zabudowań było 80 – 100m. Nasz plutonowy powiedział „Dobra jest, nie mają psa, bo już by nas wyczuł”. Siedzieliśmy może do północy. Potem cichutko podeszliśmy do zabudowań. Był tam dom, jakaś obora lub chlew i nieduży, okrągły stóg słomy. Mnie i koledze ze starego rocznika, który nazywał się Staniszewski Władysław, plutonowy kazał ulokować się w tej obórze. Trzem następnym wejść na stóg. Gdzie rozstawił pozostałych pięciu kolegów tego już nie wiem,

boz Władkiem wleźliśmy do tej obórki. Drzwiczki były zamknięte na patyk. Było ciemno. Kolega zapalił zapalniczkę. Były dwa pomieszczenia. W jednym większym były kartofle przykryte słomą a w drugim mniejszym jakieś graty. Kolega dokładnie zgasił zapalniczkę. Powiedział do mnie „Po co będziemy dwóch warować – ja teraz położę się na tej słomie i zdrzemnę się i ty się zdrzemniesz”. Zostałem sam w tym mniejszym, zagrożonym pomieszczeniu. Było tam nieoszlusowane okienko po prostu otwór w ścianie od strony lasu. Stałem przy tym okienku wpatrując się w ciemność. Chcę przypomnieć, że na plecach miałem plecak a w nim prowiant – zjeżdżała słoninę i bochenek chleba. Plecak zamiast pasów miał grube sznury. Stałem cichutko i bez ruchu, bojąc się narobić jakiegoś rabanu. Pepesza, którą załadowano warzyła 5,10kg. Postawiłem ją na ziemi lufą w dół, trzymając za kolbę. Ile czasu tak stałem trudno określić. Wydawało mi się, że to wieczność. Zaczęły mnie boleć ramiona. Gdyż te sznury od plecaka bardzo uwierały. Kusiło mnie by zdjąć ten plecak jednak coś mnie powstrzymywało. Ciemno, cicho a ramiona coraz silniej bolały. W końcu nie wytrzymałem. Postanowiłem zdjąć ten „cholerny” plecak. Sznurki były przywiązane na stałe, więc zsunąłem plecak, który pod ciężarem po rękach zsuwał się w dół. Kiedy doszedł do mankietów, oparł się na rękawach płaszcza i nie chciał zsunąć się dalej. Tu muszę zaznaczyć, że płaszcz żołnierski na rękawach miał mankiety, w których były kieszenie. Można było do takiej kieszeni włożyć jakieś papiery, list, dokumenty. Na dodatek mankiety miały przyszyte guziki. Właśnie na tych mankietach zatrzymał się sznurek. Ciężar ciągnął do dołu. W ten sposób miałem ręce skrupowane do tyłu. Ruszyć się nie mogłem, bo między

kolanami trzymałem i ścisnąłem swoją pepeszę. To dopiero jest pech. W tym momencie usłyszałem, że ktoś idzie prosto na chlewik. Władka obudzić nie mogłem i nic zrobić nie mogłem. Stałem unieruchomiony, a przez głowę w jednej sekundzie galopowało tysiące myśli. Nie potrafię opisać, jaki chaos powstał w głowie. Przyznaję, że miałem porządnego „pietra”. Jeszcze tylko przez ten otwór – okienko zobaczyłem dwie sylwetki, które przeszły obok naszego chlewika. Po chwili pukanie do drzwi chałupy i cisza. Gdybym nie miał związanych rąk, tych dwóch osobników miałbym „w swoim koncie”, gdyż nie możliwe było nie trafić z trzech metrów. Czemu nie strzelali ci koledzy ze stogu? Gdy weszli do domu, zacząłem po cichu wołać kolegę. W końcu Władek się zerwał i przyszedł do mnie. Ja chaotycznie zacząłem prosić, żeby mnie uwolnił. Mówiłem, że dwóch przeszło i są w domu. Z początku nic nie rozumiał. W końcu pojął. Nieszczęsny plecak wsadził mi z powrotem na plecy. Wziąłem pepeszę i poczułem ulgę. Zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej. Iść pod stóg do kolegów było ryzykowne. Mogli nas przecież „kropnąć”. W końcu Władek coś wymyślił. Zaczęliśmy kartoflami rzucać w ten stóg. Usłyszeliśmy „Czego?” Powiedzieliśmy, że to my, żeby nie strzelali i zleźli ze stogu. Władek stwierdził „Cholera – zasnęli”. Kiedy tych trzech zlazło ze stogu, zastanawialiśmy się, co robić dalej. Władek – stary wyga - postanowił, że będziemy siedzieć za stogiem i obserwować chałupę. Gdy będą wychodzić, weźmiemy ich żywcem. Teraz musimy czekać aż się trochę rozwidni. Na pytanie gdzie plutonowy z pozostałą piątką kolegów, powiedzieli, że gdzieś się zaczęli z drugiej strony chałupy. Na razie siedzieliśmy cicho. Gdy zaczęło

się przejaśniać, zjawił się plutonowy z piątką kolegów. Chciał on już zwijać zasadzkę. Powiedzieliśmy, że w środku chałupy jest dwóch z lasu. No to już wtedy musieliśmy się kryć. Plutonowy kazał okrążyć dom, uważać na okna, bo będą chcieli uciekać, strzelać. Plutonowy i nas czterech doskoczyliśmy do drzwi. My staliśmy pod ścianą, on zaczął walić butem w drzwi. Ktoś otworzył, wpadliśmy jak szatany z wielkim wrzaskiem. Była to metoda zastraszenia. Mieliśmy trzech facetów z rękami uniesionymi do góry. Była też kobieta, która zawodziła jak „syrena”. Wyprowadziliśmy ich na dwór, przybiegli ci, co obstawili dom i tak jak w takich momentach, obszukaliśmy facetów, którzy byli tak zaskoczeni i tak wystraszeni, że słowa nie mogli przemówić. Plutonowy sześciu żołnierzom rozkazał „zaholować” ich pod konwojem do Przemyśla. Z pozostałą czwórką, z którą byłem, zaczęliśmy przeszukiwać chałupę. Ci odprowadzeni zostali pouczeni, że za najmniejszą nawet chęć ucieczki bez ostrzeżenia zostaną zastrzeleni. My z plutonowym weszliśmy do chałupy. Kobieta, która w niej była, płakała. Zaczęliśmy przeszukiwanie. Nie mieliśmy żadnego nakazu prokuratorskiego, ale kto w tamtym czasie się tym przejmował. Chałupa była tak zbudowana, że po wejściu do sieni, po prawej stronie była obora, gdzie stała jakaś krowina a na lewo znajdowała się duża izba, która była jednocześnie kuchnią i sypialnią. Mnie i jeszcze jednemu koledze plutonowy rozkazał sprawdzić obórkę i strych. W oborze stała krowa, więc nie było czego szukać. Po drabinie wleźliśmy na stryszek i tam zastaliśmy dwie młode dziewczyny w wieku 18-20 lat. Ubrane były w długie koszule. Spały na słomie – grochovina na kapotach. Przykryte były derkami. Jak nas zobaczyły, to

narobiły pisku, że byliśmy gorzej przestraszeni od nich. Kazaliśmy im zejść po drabinie na dół. Ja patrząc na ten barłóg doznałem uczucia litości. Biedę było widać gołym okiem. Kolega zaczął swoim automatem jak kijem grzebać w tym barłogu. Ja już niczego nie szukałem, bo co tam można było znaleźć? Kiedy zeszliśmy na dół, zauważyłem na osłonie lufy pepeszki u kolegi jakby plamy rdzy. Więc powiedziałem „Pepesza ci zardzewiała i to za jedną noc?”. Kolega rękawem płaszcza wytarł pepeszę i rdza znikła ale na rękawie pozostała krwawa plama. Zacząłem się śmiać, bo zrozumiałem, że grzebiąc w tym barłogu musiał się zadziać na podpaski po periodzie, które chyba miały dziewczyny. Kolega się wkurzył tak, że chciał zbić dziewczyny ale mu nie pozwoliliśmy. No bo za co? Dom przewróciliśmy do góry nogami. Nawet wywróciliśmy dwie beczki drewniane po śledziach. To przeszukiwanie się opłacało, bowiem w zbożu były dwa tzw. „obrzyny” (karabiny z obciętymi lufami i kolbami, które można łatwo ukryć pod kapotą). To była straszna broń. Na pytanie - czyje to - w kółko odpowiadała, że nie wie, że pierwszy raz widzi itd. Wróciliśmy do Przemyśla. Był obiad. Pełni wrażeń opowiadaliśmy jak się nam „poszczęściło”. Ja wcale nie żałowałem, że plecak „związał mi ręce”. Dotychczas nikogo nie miałem na sumieniu. Ci dwaj co weszli do chałupy też mieli cholerne szczęście, bo dzięki moim perturbacjom z plecakiem na sznurkach – byli żywi. W Przemyśle na ulicy Słowackiego nie było stołówki. Była tam normalna kuchnia polowa i choć był listopad to posiłki braliśmy na dworze do menażek. Łaźni też nie było. Chodziliśmy do miejskiej łaźni, która znajdowała się za Sanem. To był kawał drogi. Musieliśmy całą kompanią przechodzić przez wiszący most dla pieszych.

Nie mogliśmy też całą kompanią maszerować i to broń Boże „w nogę”. Przed mostem stawaliśmy i szliśmy po dwie czwórki. Dowódca puszczał nas robiąc między czwórkami przerwę około 20 m. Raz spróbowaliśmy iść „w nogę”. Most zaczął się tak kołysać, że cywile zaczęli się łapać za kratownice. A my dostaliśmy takie ochrzanianie, że uszy wędły. Ten most nie miał żadnego filara i podpory. W prawdzie był drugi most zwyczajny, normalny ale trzeba było nadłożyć drogi.

W łaźni, kiedy byliśmy pod prysznicami, któryś ze starszych żołnierzy zauważył u mnie na prawym biodrze obtarcie, po prostu strup. Zapytał „Co to jest?”. Odpowiedziałem, że to okrągły magazynek naboju od pepeszy tak mi obciera biodro. Po przyjściu do koszar ów żołnierz kazał mi wziąć moje dwa magazynki i iść za nim. Poszliśmy do zbrojmistra. Tam starszy kolega wytłumaczył, że mam strup na biodrze od tych magazynków. Zbrojarz zamienił mi te okrągłe na cztery tzw. „rogowce”. W te rogowce – magazynki wchodziło 35 sztuk amunicji a więc $4 \times 35 = 140$ sztuk czyli to samo co w dwóch okrągłych. Miałem szczęście, bo i moja pepesza ważyła około 2 kg mniej. W tamtym czasie starzy żołnierze opiekowali się młodszym rocznikiem.

Dowódca batalionu – Dzeń, miał „hopla” na tle broni i alarmów. Broń musiała być zawsze czysta – sprawdzał osobiście. Raz podał nam przykład, że na froncie żołnierze własnym ciałem przykrywali mózdzierze aby nie zostały uszkodzone odłamkami. Nas to nie przekonywało, bo zrobić „rurę żelazną” można zawsze i szybko, natomiast gorzej z człowiekiem. O alarmach, to przekonaliśmy się na własnej skórze. Nieraz robił on alarm po trzy razy w ciągu nocy. Patrzył na zegarek,

sprawdzał jak szybko stawaliśmy z uzbrojeniem na placu alarmowym w szyku. Chłopaki wiedzieli, że to alarmy ćwiczebne. Nie zapinali mundurów, nakładali płaszcze, buty zakładali na bosc nogi, onuce wkładali do kieszeni ale nie przechytzyli naszego „kamandira”. Kazał on kierowcom włączyć światła i wywoływał przypadkowych żołnierzy, rozkazując rozpiąć płaszcze lub zdjąć buty. Biada temu żołnierzowi, którego przyłapał na fuszerce.

Pod koniec listopada moją kompanię poderwano w trybie alarmowym. Dowódcą był porucznik Antyporowicz. Pobraliśmy prowiant, upychając go w różnorakie plecaki. Był to chleb, konserwy, słonina, cukier. Obładowani byliśmy jak wielbłądy. Do tego dochodziła bron i amunicja. Ruszyliśmy w górę ulicą Słowackiego, idąc do mostu na Sanie. Potem szliśmy w kierunku Krzywczy, Babice, Dynów. Szliśmy na zachód a po lewej ręce wił się San. W miejscowości Krzywcza rozdzieliliśmy się plutonami i każdy pluton poszedł w swoją stronę. Mój pluton szedł na północ. Pamiętam położoną pośród lasów wioskę Kramazówkę. Innych wiosek nie pamiętam. Zapamiętałem tam „kurne chaty” i panującą tam biedę. Czytałem kiedyś o tzw. „kurnych chatach”, które w średniowieczu były typowe. Przez myśl mi nie przeszło, że w Polsce w 1948 r. coś takiego jeszcze istnieje. Ale to była widziana przeze mnie rzeczywistość. Kurne chaty istniały, a w nich mieszkali ludzie.

W listopadzie dzień jest krótki. Na noc wróciliśmy przez Babice do Krzywczy, robiąc koło. Po drodze szliśmy tyralierą przez las. To nazywało się „czesaniem lasu”. Trzeba było bardzo uważać, trzymać należyte odstępy między kolegami i pilnować, żeby się nie zgubić.

Spaliśmy w Krzywczy w jakimś domu ludowym. Tak było przez kilka dni. Wyżywieniem był suchy prowiant. Najtrudniejsza do spożycia była żółta, zjełczała słonina. Posypywaliśmy ją cukrem. Do Przemyśla wracaliśmy plutonami, oczywiście pieszo ponad 20 km.

Przyszedł grudzień, spadł śnieg. Znowu całą kompanią maszerujemy obładowani jak zwykle do Dubiecka przez Orłowo – Wapowce – Krzywce – Babice, około 35 km po zaśnieżonej drodze. Dobrze, że buty mieliśmy podkute dosłownie, bo w zelówce były 32 gwoździe, a na obcasie podkówka. Gwoźdźcie miały wystające, zaokrąglone łepki więc nie ślizgaliśmy się. W połowie drogi był obiad – jedna konserwa na dwóch i chleb. Konserwa była zmarznięta, a chleb twardy. Po takim obiedzie idziemy dalej. Kiedy już robiło się ciemno wreszcie doszliśmy do Dubiecka. Skręciliśmy w lewo z głównej drogi i weszliśmy do pałacyku. W środku były duże pokoje, korytarze, szerokie, dębowe schody. Mnie zainteresowały duże obrazy, portrety, które na czarnym tle przedstawiały różne osoby – kobiety i mężczyźni w średniowiecznych strojach. Chłopaki szykowali sobie „legowiska” do spania. Wystawiono warty. Na kolację – suchy prowiant. Mnie fascynowała atmosfera starego pałacu. Zacząłem chodzić po korytarzach, pokojach, oglądać portrety. Na korytarzu natknąłem się na starszą panią, która na wózku inwalidzkim pchała jakąś kobietę. Siedząca na wózku pani, miała może 60-70 lat. Była bardzo poważna i jakaś dostojna. Czułem, że po prostu biło od niej jakieś „jaśnie państwo”. Nie wiem dlaczego „trzasnąłem kopytami”, zasalutowałem i powiedziałem „Dobry wieczór pani”. Skłoniła lekko głowę. Na twarzy pojawił się lekki uśmiech i zapytała „Czy długo tu będziemy?”.

Odpowiedziałem, że w wojsku nic nie wiadomo. O wszystkim decyduje dowództwo, a ja, zwykły żołnierz, po prostu nie wiem. Przez chwilę wierciła mnie swoim wzrokiem i odjechała. Już więcej jej nie widziałem. Położyłem się spać obok kolegów z drużyny. Zdjąłem pas z magazynkami. Zdjąłem płaszcz, rozłożyłem koc, położyłem płaszcz pod siebie i kocem się przykryłem. Szybko usnąłem. Ile czasu spałem, nie pamiętam. W pewnym momencie poczułem, że ktoś mnie lekko kopie w nogi. Świecąc latarką, stał nade mną porucznik Sitarek – dowódca plutonu i zawołał „Wstawaj! Ubieraj się!”. Co tu się było ubierać, przecież byłem w mundurze i spodniach. Szybko złożyłem koc, przytroczyłem do plecaka, nałożyłem płaszcz i byłem gotów. Na dworze stało już kilku kolegów z innych drużyn i plutonów. Zrozumiałem, że porucznik wybrał sobie żołnierzy. Potem okazało się, że było nas dwunastu: sześciu starych i sześciu młodych żołnierzy. Pobraliśmy prowiant. Wsiadliśmy na sanie: na jedne – sześciu a na drugie też sześciu a siódmy porucznik. Pojechaliśmy w ciemną noc. Od bieli śniegu było troszkę co nieco widać. Ja byłem w drugich saniach. Jechaliśmy bez słowa. Chłop kierujący parą koni też się nic nie odzywał. Słysząc było tylko miarowe uderzenie orczyka o dyszel. Jechaliśmy dość długo. Walczyłem ze snem, oczy mi się same zamykały. W końcu sanie się zatrzymały. Wysiadać! Sanie zawróciły i odjechały. My zostaliśmy na drodze w szczerym polu. Niedaleko był las. Porucznik Sitarek dobrze się orientował w tym terenie. Musiał już tu kiedyś być, bo prowadził nas pewnie. Kiedy doszliśmy do lasu, szliśmy jego skrajem i weszliśmy na jakieś podwórko. Był to dość duży dom, jakieś zabudowania gospodarskie. Na środku podwórka znajdowała się przyzma gnoju, która

nie była przykryta śniegiem. Pomyślałem – gnój wydziela ciepło. Niedaleko czekały psy. Porucznik zapukał. Otworzył nam wysoki mężczyzna. Weszliśmy do środka. Była tam duża izba, przy niej mała niby kuchnia. Gospodarz odszedł, a my nie wystawiając żadnych wart, dostaliśmy polecenie spać. Po cichu rozłożyliśmy koce, zdjęliśmy płaszcze i pokładliśmy się „pokotem” jeden obok drugiego. Porucznik Sitarek położył się na łóżku. Pobudkę mieliśmy jak już było widno. Za „swoją potrzebą” chodziliśmy za szopkę do lasu. Cały dom stał na skraju lasu, na zboczu, a dołem były rozrzucone zabudowania wiejskie. Wieś nazywała się Huta, a może Stara Huta. Ten dom był duży. Mieszkał w nim gajowy lub leśniczy. Był to wysoki mężczyzna około 50-ki. Miał żonę i dwie dorosłe córki, panny po 20-22 lata. Rozpaliliśmy ogień pod kuchnią. Drzewa tam nie brakowało. Gajowy przyniósł duży garnek. Jeden z kolegów ugotował w nim kawę. Do jedzenia mieliśmy chleb, konserwy, zjełczałą słoninę i cukier do słodzenia. To było śniadanie. Otrzymaliśmy rozkaz, żeby jak najrzadziej wychodzić na dwór, po prostu nie pokazywać się. Zadaniem do wykonania było złapać lub zlikwidować trzech bandziorów o nazwiskach, które pamiętam dobrze – Fudala, Dziegielewski, Staniszewski. To ostatnie nazwisko nas zaskoczyło, bo między nami był kolega ze starego rocznika o nazwisku Władek Staniszewski. Ten sam, z którym byłem na poprzedniej zasadzce. Śmialiśmy się, że ma kuzyna bandziora. Okazało się, że ta trójka to byli zwykli bandyci. Zastrzelili milicjanta. Posiadali broń. Jeden z nich podobno nie poszedł do wojska, czyli dezterter. Nękali oni mieszkańców i dlatego teraz tu jesteście. Wieczorem zostawiwszy plecaki i „kucharza” porucznik poprowadził

nas jedenastu w ciemną noc. W jakiejś chałupie dołączył do nas przewodnik (prawdopodobnie jakiś ORMO-wiec). Prowadził nas pokazując chałupy, w których mieszkały rodziny tych bandziorów. Gdzie i jak łaziliśmy to po tylu latach nie pamiętam. Wiem, że były to wzniesienia i jary. Psy ujadły, a porucznik Sitarek po prostu był zły, że te kundle już nas zwietrzyły. Łaziliśmy tak do świtu. Po powrocie byliśmy tak wyczerpani, że zmęczenie „zwalilo” nas z nóg. Spaliśmy cały dzień. Wieczorem znowu to samo, z tą różnicą, że sześciu poszło z porucznikiem. Co noc chodziliśmy tak na zmianę. Nękaliliśmy rodziny tych bandziorów. Na razie byli nieuchwytni. Któregoś dnia wszedłem do mieszkania leśniczego. Zastałem córki grające w domino. Poprosiły mnie do tej gry, której wcześniej nie znałem. Szybko wyjaśniły mi zasadę gry. Była ona prosta. Wiedziałem co to „mydło” albo „krowa”. Trochę z nimi pograłem, ale one mnie ogrywały. Były w tej grze wyćwiczone i wycwaniowane. Ta gra to była ich rozrywka.

Po zaznajomieniu się z terenem chodziliśmy na akcje bez porucznika. Zmieniliśmy metodę. Dzieliliśmy się po trzech, czterech. Wpadaliśmy do kilku miejsc, gdzie przypuszczalnie mogliśmy się natknąć na tych łobuzów. Po kilku dniach pobytu porucznik Sitarek powiedział: „Trzeba urozmaicić żarcie”. Porozmawiał z leśnikiem i wziął swój karabinek o nazwie Musin – krótki, z którym się nigdy nie rozstawał. Karabinek był bardzo celny. Zapytał, czy ktoś chce z nim iść na ochotnika. Poszło nas czterech i on piąty. Nie uszliśmy nawet kilometra, kiedy na małej polance zobaczyliśmy cztery sarenki i koziołka w odległości 150 m od nas. Było wyraźnie widać różki koziołka. Porucznik oparłszy karabinek o drzewa wycelował i padł strzał. Stado rozleciało się. Któryś

z nas powiedział „Pudło!”. Pobiegliśmy w miejsce strzału i zobaczyliśmy wyraźne ślady krwi na śniegu, a pod krzakiem leżącego koziołka. Wyłamaliśmy gruby kij i po związaniu nóg, koziołka wzięliśmy na kij i nieśliśmy we dwóch. Kiedy przyszliśmy do domu leśniczego to on biadolił, że teraz sarenki wyniosą się z tego lasu. Będą szukać samca. Koziołka oprawił. Skóra i poroże było jego, a mięso nasze. Po szczęśliwym polowaniu szczęśliwa passa trwała dalej. Szóstka chłopaków poszła na noc znów na „polowanie” bandziorów. I upolowali Fudala i Dzięgielewskiego. Ja akurat zostałem w domu leśniczego. Było tak – chłopaki poszli z porucznikiem do babci Fudali. Dom stał samotnie na obrzeżach wsi. Kiedy byli już niedaleko, ujadły psy i z domu wypadały dwie osoby. Chcieli uciec, ale nasi podchodzili z dwóch stron. Po kilku strzałach „pod nogi” musieli stanąć. Nie mieli wyjścia. Ta szóstka kolegów, która złapała tych facetów, rano dostała rozkaz doprowadzić ich do Dubiecka. Tam z posterunku milicji mieli zadzwonić do Przemyśla. Przyjedzie po nich samochód. Chłopaki nie szli pieszo. Poprosili jakiegoś gospodarza, żeby ich podrzucił do Dubiecka. Oni jechali na saniach, a obok uwiązani na sznurach dreptali pieszo bandziory. W domu została nas szóstka i porucznik. Mieliśmy nadzieję dopaść Staniszewskiego. Wieczorem w piątkę (porucznik i kucharz zostali w domu) przebraliśmy się w jakieś cywilne kapoty pożyczone od leśniczego. Porucznik dał mi buty z cholewami, bo pasowały na mnie. Wyglądaliśmy teraz jak prawdziwe bandziory. Dowódcą został Włodek Staniszewski ze starszego rocznika. No i czy to nie śmieszne, że Staniszewski szedł łapać Staniszewskiego?

Zaczął padać śnieg. Widoczność się pogorszyła. Do przejścia było jakieś 5 km. Dom stał nad jarem porośniętym jeżynami. Trzech z nas szło górą. Ja z kolegą jarem. Nic się nie działo. Po prostu nie było go w domu. Była tam kobieta około 30-letnia z dwojgiem 10-letnich dzieci. Władek zaczął mówić, że może do nas dołączyć, to będzie mu łatwiej. Kobieta nie dała się nabrać i powtarzała ciągle to samo „Mąż półtrzecia miesiąca temu wyjechał do Ameryki”. Powtarzała to jak zacięta płyta gramofonowa. Do dziś nie wiem ile to jest te „półtrzecia” miesiąca. Przeszukaliśmy całą chałupę bez skutku. Wracając po drodze byliśmy u najbliższych sąsiadów. Nic. Wróciliśmy nad ranem z niczym. Koledzy ledwo mi ściągnęli te oficerki. Były jednak trochę za małe na moje nogi. Po zdjęciu butów poczułem ulgę. Po dwóch dniach przyjechał zastępca dowódcy batalionu. Przywiózł prowiant dla nas. Po rozmowie z porucznikiem Sitarkiem ustalili, że nie ma sensu dalej ganiać za tym Staniszewskim. Widocznie wyniósł się z tej okolicy. Zabraliśmy swoje plecaki i Dodgem nazywanym „kabewiackim wozem” wróciliśmy do Przemyśla. Na tym wozie mieściło się na ławkach 10 żołnierzy. W Przemyśle poszliśmy do łaźni, tam zmiana bielizny i trochę odprężenia.

Teraz parę słów o poruczniku Sitarku. Był to człowiek bardzo lubiany przez żołnierzy. Mówił, że da w kość tak, że „kapcie” pogubimy. Nigdy nie dał w kość. Kiedy wróciliśmy, podziękował nam za dyscyplinę i powiedział, że jesteśmy dobrym wojskiem. Żałował tylko, że nie udało nam się schwycić tego trzeciego. Mówił, że cieszy się bo jedzie na święta do domu i będzie na ślubie swojej siostry. Wesele miało się odbyć w drugi dzień Bożego Narodzenia. Pochodził

z lubelskiego. Tam podczas pobytu stała się tragedia. Porucznika Sitarka przywieziono w kajdankach do Rzeszowa. Odbył się sąd wojskowy. Koledzy byli ławnikami w składzie sędziowskim. Opowiadali, że otrzymał wyrok 10 lat więzienia i degradację do stopnia szeregowca. A było tak. Gdy przyjechał do domu ze swoim serdecznym kolegą, zdrowo popili. Kolega ukradł mu służbowy pistolet T.T., zastrzelił siostrę Sitarka, pana młodego i sam popełnił samobójstwo. Były trzy trupy. Straszna tragedia. Przeżywaliśmy to bardzo. Siedział w Rzeszowie na Zamku (zamek Lubomirskich). Teraz jest tam chyba muzeum. Los czasami bywa okrutny. Sam ścigał bandytów nie wiedząc, że jego najbliższy kolega też zostanie bandytą. Drogo za to zapłacił.

Zmieniliśmy „teren operacyjny”. Przerzucono nas w rejon Gorlic. Teraz oprócz „Radzików” czyli pajaków i psiarków dodano nam tabor. Był to wóz zaprzężony w dwa konie. Na wozie mieliśmy prowiant i amunicję. Od Gorlic szliśmy piechotą przez Łosie. Potem forsowaliśmy sporą górę. Nasze konie nie mogły uciągnąć wozu. Doprzęgliśmy jeszcze dwa konie i tak chłopci pomogli nam wjechać na tę górę. Zjazd był trudny, ale jakoś dobrnęliśmy do wiochy – Brunary Wyżne. Zatrzymaliśmy się na plebanii. Był to duży, murowany budynek. Połowę zajmował ksiądz z gospożą, a drugą połowę zajmował posterunek milicji. Zwróciłem uwagę, że okna posterunku były zabezpieczone gęstą siatką. Przed budynkiem był wykopany rów strzelecki, czyli okop. Przyszedł ksiądz i oznajmił, że ma sarenkę, którą od małego hoduje i żeby broń Boże do niej nie strzelać. Poszedłem zobaczyć sarenkę. W kuchni rzeczywiście leżała obok dużego, białego owczarka – sarna. Gospoś

powiedziała, że z jednej miski piją mleko, bo się razem chowają.

Na wieczór porucznik – dowódca plutonu (nazwiska niestety nie pamiętam, ale między sobą po cichu mówiliśmy „strażak”) poprowadził pluton na „zapoznanie terenu”. Nie był on frontowcem. Niedawno wyszedł ze „szkółki”, miał na lewej kieszeni munduru czerwony romb i białe litery OSP – Oficerska Szkoła Piechoty. My tłumaczyliśmy po swojemu z uśmiechem – Ochotnicza Straż Pożarna. W kierunku na południe położona była Śnietnica, Czyrna, a dalej Krynica Zdrój. Na północ – Brunary Niżne, Florynka i dalej Grybów, a w lewo droga na Nowy Sącz, a w prawo na Gorlice. Przyszliśmy zmęczeni i umordowani. Pierwszą rzeczą do wykonania było wyczyścić broń. Gdy broń zamarzła, to potem w ciepłym pomieszczeniu się pocila i wyłaziła rdza. My żartowaliśmy, że to period. Jeden z kolegów wyszedł na dwór i za stodołą zobaczył sarnę. Zaczął szybko składać zamek od karabinu i chwycił naboje. Dobrze, że go zatrzymaliśmy, bo zastrzeliłby księdza sarenkę.

Po południu wyszliśmy z plebani do Brunar Niżnych, tam zakwaterowaliśmy się w szkole. Było dobrze, dowódca miał swój pokój i my dużą salę. Mieliśmy kilka par nart i buty narciarskie, zdobyczne, poniemieckie. Miały one kwadratowe noski i mosiężne okucia na zelówkach. Problem był w tym, że oprócz mnie nikt nie umiał na nich jeździć. Kiedy z naszego wozu wziąłem parę nart i je założyłem, chłopaki śmiali się ze mnie. Ja nic sobie z tego nie robiąc poszedłem na duże wzniesienie. W Brunarach już są ładne góry, przecież to niedaleko Krynicy. Zjechałem elegancko z fasonem. Zahamowałem przed kolegami. Byli bardzo

zdziwieni i zdumieni. Nawet nasz „wódz” pochwalił mnie i kazał przynieść sobie narty i buty. Biedak kroku nie umiał zrobić. Jak umiałem, tak go uczyłem. Pouczałem, żeby nogi miał ugięte w kolanach, a nie zjeżdżał na sztywnych nogach. Skorzystałem na tej nauce, bo stałem się jego pupilem. Stawiał mnie za wzór, a przecież byłem najmłodszym żołnierzem. Byłem o dwa lata młodszy od rocznika 27, z którym służyłem. Byliśmy plutonami rozrzućeni po powiecie gorlickim. W każdym plutonie była radiostacja i psiarek. O wyznaczonych godzinach parzystych bądź nieparzystych nawiązywano łączność. Radiotelegrafista spisywał kolumny cyfr, które potem podawał dowódcy. Ten miał tablicę szyfrową, z której odczytywał treść. Tylko on znał rozkazy jakie do nas przychodziły. Patrolowaliśmy okolicę w dzień i w nocy. Chodziło o to, by nie dać wytchnienia tym upowcom, którzy jeszcze siedzieli po lasach.

c.d.n.

<i>Ryszard ze Starego Kurowa</i>

Moja podróż do Rzymu.

Od dziecka marzyłam o podróżowaniu po świecie. Jednak sporą część życia przeżyłam w PRL-u i często o chęci podróżowania słyszałam: nie można, nie trzeba, zakazane. Obecnie żyję w czasach, w których podróżować można swobodnie po całym świecie. Z mężem zwiedziliśmy Pragę, Budapeszt, a także Słowację, Niemcy, Francję i Hiszpanię. W tym roku w styczniu zięć wraz z córkami Elżbietą i Haliną zaproponowali i zorganizowali podróż do Rzymu. Byłam zachwycona propozycją. Martwiłam się jednak, czy podołam i nie będę ciężarem dla młodych? Jednogłośnie stwierdzili, że podołam. No to do dzieła – powiedziałam. Całą logistyką zajął się zięć Marek.

O Rzymie miałam wiedzę szkolną. Miasto siedmiu wzgórz, wielu romańskich, barokowych i renesansowych kościołów, wielu muzeów, pałaców, placów. Na terytorium Rzymu znajduje się Watykan z Bazyliką Świętego Piotra. Znałam też legendę o Romulusie i Remusie.



Tyle w szkole. Z kolei praca zawodowa w kinie pozwoliła mi zachwycać się filmami włoskimi, przepełnionymi obrazami starożytnego i nowożytnego Rzymu. W Coloseum rozgrywały się sceny filmowe "Spartakusa" W scenach filmowych oglądałam starożytne zabytki: ruiny Forum Romanum, Panteon, Coloseum i inne. Lot Ryanair z Wrocławia trwał tylko dwie godziny. A muszę tu wspomnieć, że był to mój pierwszy lot samolotem. Z Aeroporto Ciampino udaliśmy się na kwaterę, z okien której każdego ranka z zachwytem spoglądałam na kopułę Bazyliki św. Piotra.

Własnymi oczami podziwiałam Pietę dłuta Michała Anioła. W Muzeum Watykańskim patrzyłam z podziwem na zbiory sztuki egipskiej. W Muzeum Pio-Clementino z urokiem patrzyłam na posąg Apollo Belwederski, Grupę Laokona i Perseusza z głową Meduzy, a także z ubytkami wprawdzie, ale nadal piękny Tors Belwederski. Dalej Dziedziniec Szyszki i Dziedziniec przy Pinakotece. W Muzeum Watykańskim pokonałam schody spiralne a potem przy pomocy córek weszłam na Kopułę Bazyliki Św. Piotra.



Widok z kopuły

Droga trudna, ale widok na cały Rzym z kopuły wart wysiłku. Na dachu Bazyliki ogarnęło mnie dziękczynienie, że przybyłam, zobaczyłam i pokonałam trudności. Młodzi ludzie widząc moją siwą głowę przywitali mnie na samej górze oklaskami.

Podróż do Rzymu pozwoliła mi skonfrontować moją szkolną i filmową wiedzę z rzeczywistością. Colosseum, Forum Romanum, Świątynia Piusa i Faustyny, Panteon z kopią obrazu Matki Bożej Częstochowskiej, schody Hiszpańskie (126 stopni), Fontanna di Trevi, gdzie woda dociera z odległości 20 km, Kapitol – posąg Marka Aureliusza, Wilczyca Kapitolińska (V w. p.n.e.) z bliźniętami Romulusem i Remusem, Rezydencja Rodu Barberinich, ogrody Kwirynału z pomarańczami na drzewach, grób Św. Piotra oraz Jana Pawła II w Bazylice. Wszystko to oglądały moje oczy.

Rzym poznawałam i doświadczałam wszystkimi zmysłami: wzrokiem, dotykiem, słuchem, węchem i smakiem. Rozkoszowałam się ravioli, spaghetti i znakomitym winem.



Przed Coloseum



W Bazylice z Halinką

Dnia 24.01.2016 r. – arivederci Roma i znów w ukochanej Polsce.

W listopadzie czeka mnie lot do Nowej Zelandii. Tam osiedlił się, zamieszkał i założył rodzinę mój wnuk Szymon – syn Elżbiety i Marka. Żona Szymona to Azjatka z Birmy. Ich syn – mój prawnuk Markus będzie już miał osiem miesięcy. Wrażenia z tej podróży opiszę już w Roczniku 2017 r.

Danuta

Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne „Gniazdo”.

W dniach 19 i 20 listopada miałam okazję uczestniczyć w rocznicowym spotkaniu Wielkopolskiego Towarzystwa Genealogicznego GNIAZDO w Gnieźnie. W październiku minęło 10 lat od chwili zawiązania się WTG. Na początku było tylko 6 członków - założycieli. Obecnie jest 80 osób. Członkowie WTG mieszkają głównie w Wielkopolsce i na Kujawach ale są także z Lubuskiego, tak jak moja szwagierka Ewa Tatarzyńska, która sympatyzuje z naszym Stowarzyszeniem i bywa na naszych zjazdach. Towarzystwo ma też członków poza granicami naszego kraju, między innymi w Austrii, Francji, Niemczech i Kanadzie. Z okazji rocznicowego spotkania na zjazd przyjechały delegacje z regionalnych towarzystw genealogicznych: z Warszawy, Wrocławia, Gdańska, ze Szczecina. Prezesem Towarzystwa jest Wojciech Jędraszewski z Gniezna. Na początku spotkania odbyło się przedstawienie w wykonaniu seniorów z Miejskiego Ośrodka Kultury w Gnieźnie pt. Gwara Wielkopolska. Następnie przywitanie gości i podsumowanie 10-lecia WTG. W kolejności wystąpili następujący prelegenci: Rafał Prinke - absolwent anglistyki na UAM w Poznaniu, doktor hab. historii na AWF w Poznaniu. Jest autorem m.in. książki "Poradnik Genealoga-amatora", a także założyciel i pierwszy prezes Towarzystwa Genealogiczno-Heraldycznego w Poznaniu. Pan Prinke bardzo ciekawie mówił o tradycji badań genealogicznych w Wielkopolsce i ich początkach. Następną prelekcję wygłosiła Magdalena Królikowska-Ruoppa - absolwentka AM w Łodzi. Od 30 lat mieszka i pracuje w Helsinkach. Jest działaczką polonijną.

Zainteresowania to historia Polski i genealogia. Pani Królikowska-Ruoppa pięknie opowiadała o skarbach Biblioteki Słowiańskiej w Helsinkach, głównie o dziale Polonica. Oglądaliśmy także przepiękne zdjęcia biblioteki i zbiorów oraz miasta Helsinki. Kolejny prelegent to Philip Steele - amerykański historyk, redaktor i tłumacz. Od 1990 roku mieszka w Polsce. Autor książki "Nawrócenie i Chrzest Mieszka I" Temat wykładu to „Mieszko I i religia empiryczna”. Spotkaniu towarzyszyła wystawa drzew genealogicznych oraz kiermasz wydawnictw regionalnych z Wielkopolski. Członkowie wymieniali się doświadczeniem jak i gdzie można znaleźć potrzebne informacje. W niedzielę odbyliśmy wycieczkę do Kórnika. Zwiedzaliśmy zamek i bibliotekę. Pani przewodniczka z wielką dumą i zapałem opowiadała o kolejnych, właścicielach i historii zamku, a także o bogatych i unikalnych zbiorach, będących w posiadaniu biblioteki kórnickiej. Jechałam na to spotkanie bez specjalnych emocji, po prostu jako bierna towarzyszka Ewy. Nie sądziłam, że to spotkanie będzie dla mnie ciekawym doświadczeniem i wywrze na mnie tak pozytywne wrażenie. Nie zostanę od razu genealogiem – amatorem, jak Ewa. Będę jednak teraz mogła więcej uwagi poświęcić poszukiwaniom genealogicznym i czasami wesprzeć Ewę. Na Zjeździe spotkałam fantastycznych ludzi, prawdziwych pasjonatów, poszerzyłam swoją wiedzę o genealogii i wysłuchałam z zainteresowaniem ciekawych prelekcji. Chętnie pojadę z Ewą na następne spotkanie - jeśli tylko zaproponuje mi wspólny wyjazd.

Halina Tatarzyńska.

Moje wspomnienia z mijającego 2016 roku.

Jak ten czas szybko ucieka. W poprzednim Roczniku opisywałem przeżycia i problemy związane ze znalezieniem odpowiedniego kamienia i fachowca tj. kamieniarza, który by wykonał rzeźbę i napisy na nim z okazji 10 lecia naszego Stowarzyszenia. Potem dobrego i odpowiedniego miejsca na jego ustawienie ku pamięci i dla potomnych z Rodu Chromińskich i nie tylko. Wszystko to udało się pokonać dzięki zaangażowaniu oraz dużej pomocy wielu osób, co dokładniej opisałem w 10 numerze Rocznika. A niedawno, w maju 2016 roku, podczas V Zjazdu Stowarzyszenia, obchodziliśmy już pierwszą Rocznicę jego ustawienia.



Przy kamieniu

Zjazd w tym roku odbył się w innym miejscu, tj. w Dworcu Mościbrody, w pobliżu Siedlec W/g nie tylko mojej oceny, miejsce było bardzo dobre, a i zjazd (jak poprzednie) również dobrze zorganizowany i udany, a nawet bardziej, gdyż pogoda była łaskawsza niż rok temu w Reymontówce.



Uczestnicy zjazdu w Mościbrodach

Nauczeni przykrym zdarzeniem z ubiegłego roku, z zimnem i deszczem, w tym roku postanowiliśmy, że biesiadowanie odbywać się będzie na sali, natomiast sam grill i beczka z piwem zostały ustawione na tarasie obok sali biesiadnej. Dla bardziej gorących rozstawione były stoliki na tarasie. Dzięki temu pomysłowi goście bawili się długo po planowanym zakończeniu, przekroczyliśmy 1 w nocy, rozmowom i toastom nie było końca, gdyż następny planowany zjazd odbędzie się dopiero za 3 lata, tj. w 2019 roku. Co do miejsca i terminu zjazdu nic nie planujemy, zobaczymy za dwa lata co życie przyniesie.

Pozostało tylko modlić się, aby wszyscy w zdrowiu doczekali tego czasu by się spotkać

A teraz krótko o najważniejszych wydarzeniach u mnie i w mojej rodzinie. I tak nasza członkini i współzałożycielka Stowarzyszenia, a prywatnie moja córka Renata Chromińska-Linkiewicz jesienią 2015r. przeprowadziła się do nowo pobudowanego domu na obrzeżach Jeleniej Góry, w Jeżowie Sudeckim. W budynku tym na dole prowadzą własną działalność gospodarczą, a na górze mieszkają. Wreszcie córka ma blisko do pracy, co nie zawsze jest zaletą. Jak sama mówi, czuje się jakby cały czas była na stanowisku w pracy. W wakacje byliśmy u niej w odwiedzinach, jednocześnie pomagaliśmy im zagospodarować dość dużą, bo 26 arową działkę na której jest jeszcze wiele pracy.



U Renaty w odwiedzinach

Syn Artur również nie chcąc być gorszym w tym roku zalał fundamenty pod dom oraz wymurował nad ziemię, zalewając tzw. płytę chudziakiem na której będzie stawiany budynek mieszkalny na działce w Stoku Lackim, 2 km od Siedlec Natomiast ja najmłodszą córką Anitką, jako że oboje mamy pierwsze grupy inwalidzkie, staramy się, w miarę naszych możliwości, spędzać czas na rehabilitacjach. Towarzyszy nam w tym żona, jako jednia zdrowa jeździ z nami jako nasza opiekunka. Corocznie staram się jeździć na turnusy rehabilitacyjne i do sanatoriów uzdrowiskowych, w tym roku już byliśmy w trójkę trzy tygodnie w kwietniu w sanatorium uzdrowiskowym "Mewa" w Kołobrzegu. Tam też, podobnie jak trzy lata temu, spotkaliśmy się z wszystkim dobrze znanym Olkiem ze Złocieńca, naszym archiwistą i z jego żoną Wiesią oraz z już śp. jego mamą, spędzając cały dzień na spacerach i rozmowach.



Spacer nadmorską plażą

W lipcu pojechaliśmy w góry na 10 dni zabierając też wnuczkę Gabrysię. Jak już wspomniałem wcześniej

córka Renata pobudowała się więc mamy gdzie się zatrzymać, by wypocząć w górach, łącząc wypoczynek z pomocą dzieciom i opieką nad wnuczkami. W drodze powrotnej tradycyjnie odwiedziłem siostrę w Legnicy



Na spacerze po Legnicy

Część lipca i sierpnia spędziliśmy w Siedlcach i na działce w Modrzewiu, gdzie mamy własne owoce, warzywa i pracę przy ich pielęgnacji oraz robieniu zapasów na zimę. Poza tym w wakacje wspólnie zorganizowaliśmy u Irka w Modrzewiu spotkanie integracyjne przy grillu z nowo przyjętymi członkami naszego Stowarzyszenia, a mianowicie z Janem i Alicją Chromińskimi, Ireneuszem z żoną Alą, jego ciocią Heleną oraz siostrą Agnieszką. Był również nasz prezes Sławek z żoną Marią.



Spotkanie w Modrzewiu u Ali i Irka

Od 17.08. do 6.09 przebywałem w sanatorium w Rutce k/Mrozów, wyjątkowo sam, gdyż pobyt ten jest ściśle związany z moją chorobą, tj. brakiem prawego płuca po usunięciu go w 2008 roku. Od tamtego czasu jestem pod stałą kontrolą w Warszawie na Płockiej i właśnie w Rutce, gdzie przyjeżdżam co roku mam trzytygodniową rehabilitację oddechową zwaną przeze mnie „corocznym przeglądem i remontem”.

Ryszard

Dubaj - miasto na piasku

Tej jesieni wybraliśmy się z Natalią do miasta nad Zatoką Perską Dubaju. Chcieliśmy nawiązać kontakty biznesowe na targach, zobaczyć na własne oczy legendarne miasto na pustyni oraz złapać nieco słońca, o które tak trudno o tej porze roku w naszym kraju.

Na początek przytoczmy kilka faktów: Dubaj to stolica jednej z siedmiu prowincji, wchodzących w skład Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA), które ogłosiły niepodległość w roku 1971.

Ludność stanowią głównie Arabowie – potomkowie wędrownych beduinów, ale w Dubaju zamieszkuje też ogromna rzesza hindusów i przedstawicieli innych nacji, napływających masowo w poszukiwaniu pracy i dobrobytu z Azji południowo-wschodniej. Cały emirat zamieszkuje około 1,2 mln mieszkańców.

Językiem oficjalnym jest arabski, ale wszędzie można się tu porozumieć po angielsku.

Religią państwową jest islam (jest to państwo wyznaniowe) i tej religii podporządkowane jest życie społeczności Dubaju. Jednocześnie jest to ponoć najbardziej tolerancyjne z państw arabskich i można tu napotkać również inne świątynie, np. hinduskie i chrześcijańskie.

Wbrew obiegowym opiniom, dochód Dubaju tylko w 6% pochodzi z wydobywania ropy naftowej, resztę stanowi handel, obrót nieruchomościami i turystyka. Ropa była podstawą boomu inwestycyjnego miasta w latach 70-tych ubiegłego wieku (tak, tak – do tego czasu tereny te były w większości pustynne, a Dubaj był niewielkim portem).

Jeszcze sto lat temu miasto słynęło głównie z działających tutaj światowej sławy poławiaczy pereł oraz tradycyjnych targów arabskich zwanych sukami, które specjalizowały się w sprzedaży przypraw, tekstyliów, owoców, ryb i oczywiście złota.

Od ok. 30 lat miasto wkroczyło w fazę rewolucyjnego wręcz rozwoju. Zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu coraz wyższe wieżowce, skomplikowane systemy autostrad i wiaduktów, powstawały konstrukcje inżynierii ekstremalnej, gdyż miasto rosło, dosłownie, na piaskach pustyni. O Dubaju robiło się coraz głośniej za sprawą kolejnych rekordów, szejkowie zarządzający emiratem chcieli (i nadal tego pragną) wyprzedzać nowoczesny świat w wielu konkurencjach. Do najbardziej spektakularnych należą:

- najwyższy budynek świata – Burj Kalifa (829 m)
- najbardziej luksusowy hotel świata – Żagiel Burj-al-Arab (najtańszy apartament kosztuje tu 1300\$) największa galeria handlowa świata – Dubai Mall z ogromnym akwariem z rekinami (400 szt.) i lodowiskiem. (pow. 112 ha)
- jedyne na świecie centrum handlowe ze stokami narciarskimi (gdzie temperatura nie spada poniżej 30°C),
- jedyna na świecie sztuczna wyspa w kształcie palmy z hotelami i apartamentowcami zwana Palm Jumaira (przyrost linii brzegowej o 520 km).

Arabowie wybudowali na kilkudziesięciometrowej warstwie piasku pustyni wieżowce. Aby było to możliwe, pod każdym wieżowcem umieścili kilkadziesiąt betonowych słupów. W celu zaopatrzenia miasta w wodę, zbudowali potężną odsalarnię nad brzegiem morza.

Jednak za tym spektakularnym pokazem umysłu i możliwości technicznych człowieka kryje się kilka mrocznych, mniej znanych, faktów. Przede wszystkim inwestycje wykonywane są rękoma ludzi, którzy pracują w niemal niewolniczych warunkach. Dostają głodowe pensje, mieszkają w warunkach urągających godności ludzkiej, pozbawiani są często paszportów, pracują aż do granic wytrzymałości w oddaleniu od swych rodzin i domów. Być może nie znalibyśmy tej drugiej strony medalu, gdyby nie ostatnio wydana książka znanego podróżnika Jacka Pałkiewicza pt. *Dubaj Prawdziwe oblicze*. Polecamy!



Szejk arabski herbu Lubicz

Na nas Dubaj zrobił duże wrażenie, choć wzbudził mieszane uczucia: z jednej strony podziw dla ogromnego rozmachu inwestycyjnego i cudów inżynierii ekstremalnej, z drugiej niesmak spowodowany nieprzyzwoitym wszechobecnym bogactwem (domów, aut, sky-skyperów, infrastruktury).

Dubaj jest wciąż największym placem budowy na świecie. Nieustannie powstają tu nowe projekty. Wkrótce będzie okazja, aby pochwalić się całemu światu kolejnymi rekordami, gdyż w 2020 roku odbędzie się tam światowa wystawa EXPO.



Pani i łóże szejka

Jednak myśl ludzka, która w celu generowania bogactwa ingeruje, aż w tak wielkim stopniu w naturalny porządek rzeczy jest, w naszym odbiorze, niejako poprawianiem Stwórcy.



Zakaz poprawiania Stwórcy pań nie obejmuje (oczywiście!)

Zatem dla nas miasto na piasku bez ducha Orientu jest
zaledwie mirażem szczęśliwości...



Widok na miraż

Natalia i Daniel

Wycieczka do Pragi

Ponieważ mama opisała naszą podróż rodzinną do Rzymu, ja opiszę po krótku moją wycieczkę do Pragi. Na wyjazd zaprosili mnie moi znajomi, emerytowani pracownicy policji. Zgodziłam się chętnie pomimo, że w Pradze byłam chyba już trzy razy. Plusem było też to, że autobus był zamówiony w naszej firmie, tak że wsiadałam i wysiadałam przed domem. Mimo, iż nie znałam wielu osób, to atmosfera w drodze i przez cały pobyt była bardzo przyjazna.



Nasza grupa w czasie zwiedzania

Zamieszkaliśmy w 10-ci piętrowym hotelu z lat około osiemdziesiątych. Hotel widać, że remontowany i dostosowany do aktualnych potrzeb, mógł pomieścić jednorazowo około 1000 osób.



Nasz hotel

Przewodniczką naszą była olka z białostockiego, mieszkająca w Czechach od 15 lat. Zwiedzaliśmy kluczowe zabytki w Pradze.

Pani przewodniczka oprócz zwyczajowych informacji o danym obiekcie, ogólnie dostępnych, zawsze miała jakieś ciekawe opowieści i historyjki, którymi nas raczyła. Tak więc zwiedziliśmy Zamek na Hradczanach, gdzie od 1918 roku rezyduje prezydent Republiki Czeskiej. W obrębie całego wzgórza znajduje się też podgrodzie, mury obronne, dziedzińce, Katedra św. Wita, a także słynna uliczka złota. Nie mogliśmy pominąć mostu Karola i Traktu Królewskiego. Dla wielu to właśnie Most Karola jest symbolem miasta. Most pochodzi z XIV wieku i jest strzeżony wzdłuż przez kilkanaście gotyckich figur świętych - najstarsza jest św. Jana Nepomucena z 1683 roku. U nasady mostu z dwóch stron znajdują się gotyckie wieże: Staromestska i Malostraska.



Most Karola

Wychodząc przez wieżę staromiejską wchodzi się na ulicę Kralową, przy której znajduje się większość najbardziej klimatycznych praskich piwiarni, knajpek, hosteli. W jednej z takich piwiarni byliśmy na kolacji. Przygrywała nam kapela. Były wspólne śpiewy, a nawet tańce. Po całym dniu zwiedzania i chodzenia nogi bolały, ale dobre jedzonko, piwo i muzyka zrelaksowały nas. Pieszko dotarliśmy też na wzgórze Petain, skąd rozpościera się przepiękny widok na Pragę. Na szczycie wzgórza dominuje wieża widokowa Petrinska Rozhledna, przypominająca trochę Wieżę Eiffla. Można na nią wjechać windą i wejść po schodach. Ja oczywiście weszłam po schodach. Widok zapierający dech w piersiach! Niedaleko wieży stoi Labirynt Zwierciadeł - fantastyczne miejsce, gdzie jest mnóstwo luster i można się oglądać w różnych deformacjach. Ubawiliśmy się

tam, co niemiara, oglądając się w tych zwierciadłach. Na górze znajduje się także, tak mówią, najdziwniejszy zabytek świata – Mur Głodowy. Został on wybudowany bez specjalnego powodu. Cesarz Karol IV chciał po prostu dać pracę praskiej biedocie, więc zlecił budowę kilometrowego muru. Późnym wieczorem oglądaliśmy grające fontanny. Ja byłam na takim widowisku pierwszy raz i byłam zachwycona. Ci, którzy już mieli gdzieś okazję oglądać takie fontanny byli zdania, że był to przeciętny spektakl. Spędziliśmy w Pradze trzy intensywne dni. Miło było odświeżyć sobie w pamięci to miasto. W drodze powrotnej jedliśmy obiad w Zgorzelcu – trójstyku Polski, Czech i Niemiec, gdzie w ostatnią niedzielę maja obchodzony jest Dzień Otwartych Domów Przysłupowych. Domy Przysłupowe są to słowiańskie parterowe domki, które zostały "otulone" na zewnątrz słupami i nadbudowane piętrem, wzniesionym w technice ryglowej, wypełnionej słomą i gliną. I w takim właśnie domu przysłupowym, w przepięknej scenerii, jedliśmy obiad.

I to był ostatni punkt naszej wycieczki!

Halina Tatarzyńska.

Triumf

Piszę ten artykuł w obchodzonym w dniu dzisiejszym - 17.11. Światowym Dniu Wcześnieika.

Jest on dniem, jaki wzbudził moje wspomnienia co do ukończonego zaledwie miesiąc temu stanu błogosławionego, który przysporzył mi niemało trosk.

Zatem, rozpoczynając opowiadanie od początku, od lutego dowiedzieliśmy się o wspaniałej nowinie-że jestem w ciąży.

W długi weekend majowy, weekend biesiad członków Stowarzyszenia i jego sympatyków, mieliśmy z mężem okazję cieszyć się pierwszą wyprawą po zimowym przebywaniu przeze mnie w domu, spowodowanym zwolnieniem z pracy, wyprawą do ulubionej miejscowości wypoczynkowej nad jeziorem; tak naprawdę na jednodniowy pobyt relaksujący ciesząc się, że mogę spędzić ten czas z małżonkiem w otoczeniu natury; lasów, pól i jezior konińskich.

Wydarzenia sprzed maja, jak i z roku bieżącego bardzo wpłynęły na to, że swoją ciążę byłam zmuszona spędzić na zwolnieniu chorobowym, a 10., jakże ważny zjazd, spędzić w okolicy swojego domu, blisko pomocy medycznej i przychodni położniczej, do której należałam. Namowy na to, abyśmy z mężem tym razem odpuścili wyjazd, pomimo wielkiego zapалу do wybrania się na Zjazd, niestety znalazły swoje uzasadnienie.

Po powrocie ze spaceru i pikniku nad jeziorem 1. maja zmuszona byłam odwiedzić Izbę Przyjęć w szpitalu. Tydzień później okazało się, że jestem w grupie kobiet z ciążą wysokiego ryzyka.

Zaopatrujące w tlen czy składniki odżywcze łożysko, nie zaimplantowało się nie wystarczająco wysoko, aby móc

być spokojną, że ciąża zostanie donoszona, że nie urodzę przedwcześnie. Mój strach był wielki, w głowie miałam tylko myśl, że po raz drugi przekraczam barierę lęku dotyczącą bezpieczeństwa noszonego pod sercem dziecka. Pierwszą ciążę, kiedy wydawało mi się, że już przejdę bezkolizyjnie i miałam nadzieję, że jedną nogą jestem już w drugim trymestrze, który jest uważany za bezpieczniejszy niż pierwsze 12 tygodni, niestety straciłam. Właśnie w tym ważnym tygodniu! Wydawałoby się, że skoro się kończy dwunasty tydzień, to szanse donoszenia córeczki rosną. Niestety tak się nie stało. Natomiast w tym roku modliłam się o doczekania 24-tego tygodnia ciąży, kiedy dziecko jest w stanie przeżyć poza łonem matki.

A tu, w 21szym tygodniu dowiadujemy się (w maju) o ryzyku porodu przedwczesnego, niedonoszenia i ryzyku krwotoków. Kolejny raz na moment przed przekroczeniem "bezpiecznej bariery". Jakże to się wydawało brutalnie nierzeczywiste - człowiek bliski wejścia „na górę swych marzeń”, po raz drugi zostaje sprowadzony do parteru, jakby nie miał sobie za dużo wyobrazać.

Jednak Pan Bóg był łaskawy, minął czerwiec, wszystko przebiegało bez ponownych odwiedzin szpitalnych czy stanów "alarmowych". Jedynym chochlikiem jaki wkraść się by na nowo zaburzyć porządek dnia codziennego i radości z wejścia w trzeci trymestr, było przekroczenie tzw. testu obciążenia glukozą, wykazującego cukrzycę ciążową. Cukrzyca w przypadku dziewczyny podjadającej całe życie słone paluszki zamiast czekoladek, wydawała mi się być pomyłką i w zasadzie po szpitalnym pomiarze co dwie godziny "okrągłą" dobę, - okazała się być niegroźną, wręcz znikomą.

Nieustanne comiesięczne, parodniowe obserwacje w szpitalu poznańskim, zajmującym się diagnostyką kobiet z trudnościami w ciąży, czy też dziećmi z problemami w życiu prenatalnym, nie pozwalały jednak zapomnieć, że Synek może przyjść na świat za wcześnie i kiepsko sobie radzić w pierwszych tygodniach-miesiącach życia. Jednakże mentalne pielgrzymki do Dzieciątka Jezus Koletańskiego w modlitwach "dały radę"! Synek przyszedł na świat po ukończonym 39. tygodniu ciąży, w wyniku cięcia cesarskiego.

Nasz Skarb postanowił obdarować nas dwoma prezentami: po pierwsze poczekał do optymalnego dnia, aby przyjść na świat, po drugie przejął w większości geny taty, co sprawiło, że nie odziedziczył jakże utrudniającej życie i funkcjonowanie codzienne wady jego dziadka i mamy: poważnej anomalii okulistycznej-aniridii, która zagraża w pięćdziesięciu procentach dzieciom matek mających tę wadę. To dzięki niemu-Martinowi, moje decyzyjne "Mont Everest", co do posiadania dziecka, stało się triumfem i utwierdzeniem, że palec Boży został w tym dziele "umoczony".

Chciałam podziękować osobom, z którymi przeprowadziłam mnóstwo rozmów m.in. na ten temat i innych życiowych pogaduch, za wniesienie optymizmu i wiary, że nawet taki szary człowiek jak ja, powinien zawalczyć o swoje marzenia.

Za miły klimat podczas pobytu w Piasecznie chciałam podziękować wujowi Sławkowi, cioci Marii i Radkowi. Przywieźliśmy stamtąd mnóstwo ciepłych wspomnień i powodów do rozmów i rozważań.

Teraz chciałabym się podzielić najoptimistyczniejszym zdjęciem tej jesieni z Nekli - rodziną Chromińskich, Molendy (matki mojej mamy) oraz nas - Lehmannów.



Pozdrawiamy z potrójną energią: wiwat Chromińscy!

Małgosia Chromińska Lehman

Moje Camino – kontynuacja.

W ubiegłorocznym numerze Rocznika krótko opisałem pierwszą część mojej pielgrzymki do grobu św. Jakuba apostoła w Santiago de Compostela. Wówczas, po przejściu 300 km. z Saint Jean Pied de Port (Francja) do San Juan de Ortega/Burgos (Hiszpania) musiałem zejść z powodu kontuzji nóg z trasy. Już schodząc wiedziałem, że za rok wrócę na szlak żeby ją dokończyć. To było jak magnes. Tak też się stało. Po operacji prawego kolana i zagojeniu zranień 21. sierpnia br. ponownie podjąłem trud pielgrzymi. Wyruszyłem z Burgos z mocnym postanowieniem, że zrobię wszystko, żeby te 500 km. wędrówki jaka przede mną przejść niezależnie od okoliczności. Wydawało mi się, na podstawie przewodników i moich wyobrażeń, że to co najtrudniejsze mam już za sobą. Okazało się to błędem. Trudy tej części pielgrzymki okazały się nie mniejsze niż poprzedniego etapu, a droga jednak znacząco dłuższa. Podobnie jak rok wcześniej wyruszyłem razem z moim przyjacielem z Gorzowa, Karolem Korzelem. *(zdjęcie poniżej)*



Jednak po 3 dniach postanowiłem kontynuować wędrówkę samotnie. Karol miał bardzo krótki czas, za względu na obowiązki zawodowe. Ja, będąc emerytem miałem czas nieograniczony. Karol chciał za wszelką cenę w tym krótkim czasie dojść do celu pielgrzymki, ja chciałem przede wszystkim jak najwięcej przeżyć. Stąd kładzenie głównego nacisku na to ile kilometrów dzisiaj przejdziemy uniemożliwiało mi „życie trasą”, nawiązywanie bliższych relacji z innymi pielgrzymami, a przede wszystkim duchowe jej przeżywanie. Oczywiście idąc samotnie nie byłem sam na trasie. Tak na szlaku jak też w albergach w których nocowałem spotykałem mnóstwo wspaniałych ludzi, w większości młodych lub bardzo młodych. Takich starców jak ja policzyć mogłem na palcach jednej ręki. Z paroma z tych młodych pielgrzymów związałem się więzami trwałej przyjaźni. Ale na trasie szedłem z zasady sam, z nimi spotykając się co parę dni, jak Bóg dał, na noclegach w albergach.



Alvaro i ja. (Alberge w Arzua)

Nocowaliśmy w spartańskich warunkach. Sale kilkudziesięcio, nieraz ponad stuosobowe, koedukacyjne, z piętrowymi łózkami i ograniczoną liczbą sanitariatów pozwalały tylko, dzięki naprawdę dużemu zmęczeniu i zatyczkom w uszach, na jaki taki sen do 5 rano. O 5-tej pobudka i jak najszybciej na trasę. Póki jeszcze słońce nie wzeszło, póki upał powyżej 40 st. C. nie odbiera sił i chęci do wędrowania. I tak dzień po dniu, w „piątek, świątek i w niedzielę”. Zresztą, na trasie traciłem orientację w dniach tygodnia. Każdy dzień był pod tym względem taki sam: pobudka, wyjście na trasę, po jakiś 2 - 3 godzinach lekkie śniadanie, około 13-stej - 14-stej dotarcie do punktu docelowego, prysznic, pranie bielizny, obiadokolacja (jedyne w ciągu dnia pełne, sycące i z reguły pyszny posiłek z nieodłączną butelką miejscowego wina), później jeśli starczało sił to zwiedzenie miejscowych atrakcji i spać! Bo jutro o 5 rano..... itd.



Porcja „menu pelegrino”, (restauracja w Tricastela)

Trasa wiodła od Pirenejów przez całą północną Hiszpanię aż w pobliże Oceanu Atlantyckiego. Piękna. Ale najpiękniejsze jest to, co na tej trasie się przeżywa. Co i mi dane było przeżyć. Czego doświadczyć. Wychodząc rano, kiedy było jeszcze zupełnie ciemno i nie gubiąc drogi dzięki latarce umieszczonej na czole, potem podziwiając wschodzące słońce, następnie ciesząc się świtem i pełnią słońca doświadczałem równocześnie wspaniałej, wszechogarniającej ciszy.



Razem z Andrzejem wchodzimy do Galicji, godz. 8.26 rano.

Cały zgiełk tego świata, naszego świata, pozostawał gdzieś poza mną, a ja dopiero w tej ciszy zaczynałem słyszeć. Dopiero w tej ciszy idąc samotnie przez parę godzin nawiązywałem prawdziwy, realistyczny dialog. Czułem obok mnie Jego obecność, a z czasem doświadczyłem także Jego wsparcia. Wsparcia fizycznego! Zrozumiałem czym jest genius loci (duch miejsca) na tej ponad 1000-letniej trasie. I były to najpiękniejsze przeżycia w moim długim życiu.

Pielgrzymką tę można odbyć w trojaki sposób: pieszo, na rowerze i konno. O ile cyklistów zdarzało mi się widzieć dość często, o tyle o konnych pielgrzymach myślałem, że są już tylko legendą. Jednak miałem to szczęście, że mogłem przekonać się na własne oczy, że ta bardzo starodawna forma pielgrzymowania, w dzisiejszych czasach samolotów i samochodów jednak nie zamarła!



Jeden z konnych pielgrzymów spotkanych na trasie

Największy kryzys fizyczny przeżyłem 70 km. przed końcem trasy. Zapomniawszy, że nie jestem już studentem, zbyt szybkie tempo narzuciłem sobie w ostatnich dniach pielgrzymki i zapewne to spowodowało, że kolana (najpierw prawe, później lewe) zdecydowanie

odmówiły mi posłuszeństwa. Ok. 1 kilometra przed Palas de Rei bardzo silny ból, szczególnie w lewym kolanie, praktycznie uniemożliwiał mi normalny marsz. Z trudem dokuśtykałem do albergi. Wiedziałem, że jeśli nie zdarzy się cud, to następnego dnia będę musiał zejść z trasy. Zejść mając za sobą ponad 700 km. a przed sobą tylko 70! Taką też wiadomość przekazałem do domu. I cud się zdarzył. Następnego dnia, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu przeszedłem jednak 12 km! Normalnie byłoby to mało, zaledwie niespełna połowa normalnej, codziennej trasy. Ale dla mnie był to istny cud, który powtórzył się w kolejnych dniach. I tak, biorąc potrójną dawkę środków przeciwbólowych i wcierając sobie parę razy dziennie voltaren max w kolana w ciągu następnych 4 dni doszedłem do Santiago de Compostela! Wzruszenie jakie czuje pielgrzym po dotarciu do celu pielgrzymki jest nagrodą za wszystkie trudy tej trasy. Ale jest też inna, bardziej materialna nagroda. Są nią dwa dyplomy jakie otrzymałem od Kapituły Katedralnej w Santiago de Compostela. Pierwszy dla pielgrzyma który był u grobu św. Jakuba Apostoła i przeszedł co najmniej 3 odcinki trasy



Compostelka pielgrzyma.

tłumaczenie

Kapituła Naszego Metropolitalnego Kościoła w Composteli, u stóp ołtarza Jakuba Apostoła, pieczętuje i ogłasza wszystkim Wiernym i Pielgrzymom z całego świata, że Pan Sławomir Chromiński, niesiony pobożnością do Świętego Apostoła Jakuba, Naszego Apostoła, Patrona Hiszpanii i wszystkich tu przybywających, spełnił wszystkie wymagania, do tej świątyni pieszo, (na koniu, na rowerze) przybywając. Wobec wszystkich wiernych, pismem tym opieczętowanym pieczęcią Kościoła Świętego podaje się i potwierdza. Dane w Composteli dnia 12 miesiąca września roku Pańskiego 2016.

i drugi (dla mnie znacznie bardziej cenny), dla pielgrzyma który przeszedł całą trasę.



tłumaczenie

“I za dnia bramy jego nie będą zamknięte, bo już nie będzie tam nocy” (Ap 21, 25),

"ponieważ świecznik wspaniałym światłem jako południe promienieje". (Kodeks Kaliksta).

Rada Apostolska Katedry Metropolitalnej Santiago de Compostela, leżącej w zachodnim regionie Hiszpanii, wszystkim, którzy ten Certyfikat oglądać będą, do wiadomości podaje, że Sławomir Chomiński odwiedził Bazylikę, do której chrześcijanie przybywają, by pokłonić się (ciału) Św. Jakuba Apostoła. Jednocześnie Rada w duchu miłości i radości pozdrawia w Panu tegoż Pielgrzyma - przez wstawiennictwo Apostoła - i życzy by Ojciec (Niebieski) obdarowywał go bogactwami duchowymi, jako też materialnymi. Niech będzie błogosławiony Jakub i niech go (pielgrzyma) błogosławi. Dane w Composteli, u Celu Camino, dnia 12 miesiąca września roku Pańskiego 2016. Po przejściu 775 km z St. Jean Pied de Port, gdzie drogę rozpoczął, 25 sierpnia 2015, na Camino Francuskim.

I na koniec krótka informacja, że 7 września cały odcinek z Portomarin do Palas de Rei (25 km.) szedłem i modliłem się w intencji wszystkich zmarłych i żyjących członków naszego Stowarzyszenia.



W katedrze u celu pielgrzymki.

Sławek

Z naszej historii

Ustawianie kamienia pamiątkowego 24.04.2015 r.



Zajeżdża samochód z dźwigiem i kamieniem



Ciężko będzie!



A jednak w górze!



Witamy na ziemi!



Równo panowie, równo!



Z tyłu trzeba trochę podsypać!



Ludzie dobrej roboty.



Żeby nie było, że mnie przy tym nie było.

**Lista członków
Stowarzyszenia Rodu Chromińskich**

- | | |
|---------------------------------------|---|
| 1. Agnieszka Król | <u>gnieszka-krol@we.pl</u> |
| 2. Alicja Chromińska | <u>alicja.chrominska56@wp.pl</u> |
| 3. Anita Baum | <u>anitabaum@interia.pl</u> |
| 4. Artur Chromiński | <u>arturzyna@poczta.fm</u> |
| 5. Barbara Chromińska Stawska | <u>basia@chrominscy.pl</u> |
| 6. Daniel Chromiński | <u>lubicz@icloud.com</u> |
| 7. Grzegorz Chromiński | <u>grzegorz.chrominski@interia.pl</u> |
| 8. Halina Tatarzyńska | <u>halatatar@wp.pl</u> |
| 9. Helena Chromińska | <u>tomchrom@wp.pl</u> |
| 10. Ireneusz Chromiński | <u>irekchr@o2.pl</u> |
| 11. Jan A. Chromiński | <u>olek1200@wp.pl</u> |
| 12. Jan S. Chromiński | <u>alicja.chrominska56@wp.pl</u> |
| 13. Jolanta Chomińska | <u>andrzej.chominski@wp.pl</u> |
| 14. Łukasz Chromiński | <u>lukaszek06@wp.pl</u> |
| 15. Magdalena A. Chromińska Tuszyńska | <u>magdalenachrominska1@gmail.com</u> |
| 16. Małgorzata Chromińska Lehmann | <u>meg-chrominska@o2.pl</u> |
| 17. Maria L. Chromińska | <u>machrom@interia.pl</u> |
| 18. Maria Olkiewicz | <u>gola20@op.pl</u> |
| 19. Maria Chromińska–Rzepka | <u>mariarzepka@poczta.onet.eu</u> |
| 20. Maria Teresa Chromińska | <u>tomchrom@wp.pl</u> |
| 21. Michał Chromiński | <u>przelazy@poczta.fm</u> |
| 22. Natalia Chromińska | <u>nchrominska@gmail.com</u> |
| 23. Radosław Chromiński | <u>grapefrut@gmail.com</u> |
| 24. Renata Chromińska – Linkiewicz | <u>renatalink@tlen.pl</u> |
| 25. Ryszard Chromiński | <u>chrominscy@tlen.pl</u> |
| 26. Sławomir Chromiński | <u>slawomir@chrominski.pl</u> |
| 27. Stanisław M. Chromiński | <u>chroms.stan@interia.pl</u> |
| 28. Stanisław K. Chromiński | <u>danutachrominska@wp.pl</u> |
| 29. Stanisław Chromiński | <u>stanislawchrominski@vp.pl</u> |
| 30. Stanisława Świerczyńska | <u>st.swierczynska@tlen.pl</u> |
| 31. Tomasz J. Chromiński | <u>tomchrom@wp.pl</u> |
| 32. Waldemar Chromiński | <u>chrominscki@wp.pl</u> |
| 33. Wojciech Chromiński | <u>lubicz1@vp.pl</u> |
| 34. Zdzisław Chromiński | <u>zdzychukatowice@gmail.com</u> |

INFORMACJE O STOWARZYSZENIU

Prezes Stowarzyszenia
(będący jednoosobowym zarządem)
Sławomir Chromiński

Rada Starszych
(organ doradczy przy prezesie)

1. Ryszard Chromiński	przewodniczący
2. Maria Leokadia Chromińska	sekretarz
3. Halina Tatarzyńska	skarbnik
4. Jan Aleksander Chromiński	archiwista
Daniel Chromiński	stały członek Rady

Nr konta bankowego Stowarzyszenia:

Nazwa banku **Credit Agricole**
Nazwa posiadacza rachunku: **Stowarzyszenie Rodu Chromińskich**
Nr rachunku: **81 1940 1076 3034 4583 0000 0000**
Tytuł wpłaty **składka członkowska (plus ewentualnie**
wpisowe), **imię i nazwisko oraz imię ojca, za rok.**

Zgodnie z Uchwałą IV Zjazdu Stowarzyszenia Rodu Chromińskich, składka członkowska wynosi 100 zł. za rok. Zarząd, Uchwałą z dnia 28 sierpnia 2006 r. ustalił wysokość opłaty wpisowej na 20 zł.

**Stowarzyszenia Rodu Chromińskich jest wpisane do
Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem 0000255145
Nr REGON 140612134
NIP 521 339 97 38**

**Redakcja Rocznika - Sławomir Chromiński
Korekta - Agnieszka Król**

Spis treści

	<u>str.</u>
1. Artykuł wstępny	
<i>Sławek</i>	1
2. Trochę refleksji po i przedzjazdowych	
<i>Sławek</i>	3
3. Jan Piotr Chromiński 1928-2002	
<i>Basia</i>	9
4. Wniosła do rodziny oświaty kaganek	
<i>Irek</i>	11
5. Jezuici i Kościół hierarchiczny	
<i>o. Marek Sokołowski SJ</i>	15
6. Drodzy Chromińscy	
<i>Stanisław Orzełowski</i>	34
7. Zakon Maltański jako przykład	
organizacji szlacheckiej	51
<i>Robert Wiraszaka</i>	
8. Życie na „Ziemiach Odzyskanych”	
<i>Ryszard ze Starego Kurowa</i>	57
9. Moja podróż do Rzymu	
<i>Danuta</i>	74
10. Wielkopolskie Towarzystwo Genealogiczne	
<i>Halina Tatarzyńska</i>	78
11. Moje wspomnienia z 2000 r.	
<i>Ryszard</i>	80
12. Dubaj, miasto na piasku	
<i>Natalia i Daniel</i>	86
13. Wycieczka do Pragi	
<i>Halina Tatarzyńska</i>	91

14. Tryumf	
<i>Małgosia Chromińska Lehman</i>	95
15. Moje Camino – kontynuacja	
<i>Sławek</i>	99
16. Z naszej historii	
<i>Sławek</i>	108
17. Lista członków	112
18. Informacje o Stowarzyszeniu	113



Mościbrody 30.04 - 1.05 2016 r.